KOŚCIÓŁ – BINOWANIE WIERNYCH

FAKTY PO FAKTACH

Nr 43 (319), 23 – 29 października 2026 r.



str. 19

WOJNA O TRYBUNAŁ

str. 13

fot. Ilustracja AI



PROMINENTNI PROMILANCI: Prawnicze kadry PiS: pijany prokurator buszuje w nocy w cudzym mieszkaniu, pijany sędzia leży półprzytomny na peronie... (Andrzej Sikorski, str. 3)



KOŚCIELNA TELENOWELA: Zemsta, podszywanie się pod kanclerza kurii, bulwersujące nagrania, parafialne pieniądze, „molestowanie", próba przekupstwa, czarny charakter i konferencja w Sejmie... (Katarzyna Wilk-Wojtczak, str. 6)

cena 11,99 zł (w tym 8% VAT) ISSN 2719-5309 INDEX 434000 tygodnikfaktypomitach faktypomitach.pl

eprasa.pl b620986762



Akademia absurdu

Ucieczka z Kina Wisła

Czy Polska może spłynąć krwią wskutek wojny domowej i w efekcie stracić niepodległość? Może. A co, jeśli przestrzegają przed tym piewcy teorii spiskowych? Wtedy sprawa nie jest oczywista, bo ci też gotowi są ze sobą walczyć.

Z dużym zainteresowaniem poszedłem na premierę nowego filmu Konrada Szołajskiego „Plac zabaw Putina". W opisie przeczytałem: „Para polskich dokumentalistów rusza przez Europę Środkowo-Wschodnią, aby zbadać działania prowadzone przez rosyjskie służby poniżej progu wojny. (…) Ich śledztwo prowadzi do pytania o wojnę hybrydową – działania prowadzone przez lata bez formalnego wypowiedzenia wojny i często poza świadomością zwykłych obywateli". Od razu wyjaśnię: z braku miejsca (i z litości…) ograniczę się do przedstawienia polskich wątków filmu.

Piękny umysł

W przywołanym opisie ważne są dwa słowa: „dokumentaliści" i „śledztwo". Pojęcie „dokument" jest tak pojemne, że może zawierać niemal wszystko; nakręcony telefonem filmik pokazujący rzygającego kibola – to też świadectwo naszych czasów. Jeśli jednak coś ma charakter wybitnie subiektywny i zostało stworzone pod określoną tezę, trudno to traktować jako obiektywny obraz rzeczywistości. Pojęcie „śledztwa" sugeruje zaś logiczny ciąg ustaleń, prowadzący do konkretnego wniosku. W „Placu zabaw…" obiektywizmu – w moim odczuciu – zabrakło, śledztwa nie było wcale, a jedyny wniosek, jaki wysnułem z filmu, jest taki, że reżyser ma swoją teorię dotyczącą zachodzących procesów politycznych. Spiskową i niemniej odjechaną od tych, które próbuje ośmieszyć.

Znamy się z Konradem (kiedyś nawet troszkę współpracowaliśmy), lubię go, cenię jego dorobek, a kilka jego filmów nawet mi się podobało. Na seans poszedłem więc z otwartym sercem i mózgiem. Nie żałuję, choć tak po ludzku, przykro mi było patrzeć na to, co „działo się" na ekranie. Film ma dwa lata (2024 r.) i do tej pory nie było chętnego do wprowadzenia go do kin ani pokazania w TV. Teraz pieniędzmi sypnął PISF (Państwowy Instytut Sztuki Filmowej) i w warszawskim Kinie Wisła mogliśmy zobaczyć twórczość polskiego dokumentalisty.

Jako redaktor „FpM" dostaję sporo niezamówionych tekstów. Zdarza się, że do propozycji publikacji dołączony jest długi list, w którym ktoś szczegółowo tłumaczy, że przesłana mi opowieść jest wybitna, nieszablonowa i skrupulatnie wyjaśnia, jak mam rozumieć całość artykułu. Cóż, jeśli ktoś przed lekturą mówi mi, co mam pomyśleć o tym, co za chwilę przeczytam, to oznacza, że materiał się nie obroni. Podobnie było z filmem Szołajskiego. Projekcję poprzedził wykład, mówiący o co chodziło autorowi. W sumie dobrze, bo bez tego zrozumiałbym jeszcze mniej. Ze względów towarzyskich nie chciałem publikować tego felietonu, ale zmieniłem zdanie, gdy zobaczyłem, że reżyser promuje film na łamach „Gazety Wyborczej". Sięgnąłem po wywiad z nim i trochę mnie zamurowało, bo to, co przeczytałem, okazało się znacznie zjadliwsze od tego, co zobaczyłem w kinie.

Teoria wszystkich teorii

Szołajski podkreśla, że nie lubi „nazywać ruskich onuc" onucami oraz unika określeń „pożyteczny idiota". Wyjaśnia, że typów agentów jest od cholery i może nawet być tak, że niektórzy nie wiedzą, że są „idiotami"; na szczęście wie to reżyser. Zacytuję go z wywiadu dla „GW": „Teoria zamachu i oskarżenia pod adresem Putina (i Tuska) zostały prawdopodobnie wymyślone przez Rosjan w celu podzielenia i rozbicia polskiego społeczeństwa". Czyli: całe PiS z Kaczyńskim i Macierewiczem na czele oraz setki tysięcy ich zwolenników (tych wierzących w zamach smoleński) to „pożyteczni idioci", choć mogą o tym nie wiedzieć. I ma na to dowód, który przedstawił w filmie, a który ja zdradzę za kilka chwil.

Wpływy rosyjskie w Polsce reżyser przedstawia w dwóch odsłonach. Najważniejsza z nich to afera związana z podsłuchiwaniem polityków PO w drogich warszawskich restauracjach. Zdaniem Szołajskiego, za aferą stały rosyjskie służby, którym zależało na odsunięciu od władzy „nowoczesnej, proeuropejskiej" Platformy i zastąpienie jej populistycznym PiS. W kulisy sprawy wprowadzał widzów ekspert od znajdowania podsłuchów, co robił w domu Szołajskiego i jego filmowej partnerki, na oczach psa. Podsłuchu nie znalazł, pies się ucieszył. Druga „wprowadzająca" postać była jeszcze rozkoszniejsza – były szef CBA Paweł Wojtunik, który sam dał się nagrać i jest przekonany, że wiosną 2014 r. padł ofiarą rosyjskiej prowokacji. Wtedy to, gdy jadł z ówczesną wicepremier Elżbietą Bieńkowską, poinformował ją, że minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz wymyślił i zlecił prowokację – obrzucenie rosyjskiej ambasady materiałami zapalającymi (co miało miejsce w listopadzie 2013 r.). No to jak, Sienkiewicz jest pożytecznym idiotą, Bieńkowska pożyteczną idiotką czy Wojtunik idiotą? Niestety, film tego nie rozstrzygnął, bo pominięto wątek szczerości Wojtunika…

Reżyser wyraźnie zasugerował, że odpowiedzialny za podsłuchiwanie polityków biznesmen Marek Falenta może być rosyjskim agentem (szpiegiem, śpiochem?), bo nie tylko robił interesy z Rosjanami, ale też ci mu ufali. Dowodem tego okazało się osadzenie biznesmena w więzieniu. No to wyjaśnijmy: na 2,5 roku, ale nie za szpiegowanie, tylko z art. 267 kk (nieuprawnione uzyskanie informacji). I kiedy reżyser kończył swój film, Falenta był już na wolności, czego jednak z filmu się nie dowiadujemy.

No i obiecany dowód na współpracę PiS (być może nieświadomą) z rosyjskim wywiadem. Otóż o podsłuchach w Restauracji Sowa&Przyjaciele jako pierwszy pisał propisowski dziennikarz Cezary Gmyz (ten od trotylu na smoleńskim Tupolewie). Wspierając partię Kaczyńskiego i Macierewicza, Gmyz miał działać – zdaniem Szołajskiego – na szkodę Polski. I wyjaśnia to w filmie stwierdzeniem, że Gmyz nie chce wskazać źródła swoich informacji. Tak więc postępując zgodnie z etyką zawodową (tajemnica dziennikarska) – zdaniem K. Szołajskiego – wskazuje, że źródłem mogły być rosyjskie służby…

Szpital przemienienia

Drugi polski wątek dotyczył działalności polskich środowisk antywojennych. Tu ich twarzą reżyser uczynił niespełnionego polityka, który stał na czele jakiegoś „chwilowego" ruchu. Darzę tego człowieka skrajną antypatią, dlatego nie wymienię jego nazwiska. Wyjaśnić jednak warto, że jego aktywność przeżyła załamanie, kiedy po Polsce rozeszła się plotka, że ponosi współodpowiedzialność za trzymanie w więzieniu Mateusza Piskorskiego (który *notabene* 10 i pół roku od aresztowania nadal nie ma wyroku, nawet sądu I instancji!). Do plotki szybko dodano, że najpewniej wziął się za organizację ruchu antywojennego na polecenie ABW w celu inwigilowania środowiska.

Jak z nim jest, nie wiem, ale ani ja, ani moi przyjaciele nie podajemy mu ręki. Kiedy powstał film Szołajskiego, ruch jego negatywnego bohatera już przeżywał kryzys. Pytanie tylko, czy był to dla reżysera bohater „negatywny". No bo choć wznosił okrzyki uznawane za „prorosyjskie", to jeśli rzeczywiście pracował dla polskiej bezpieki – działał na niekorzyść Moskwy. No, chyba że ABW też działa na rzecz Kremla…

Darek Cychol

FAKTY bez mitów

Odpowiedź na pytanie o źródła agresji wśród młodzieży ma już były minister Dariusz Piontkowski – oczywiście problem leży w tym, że młodzież nie chodzi do kościoła. „Doświadczenia innych krajów wyraźnie pokazują, że dzieci pochodzące z tradycyjnych rodzin, z tradycyjnymi wartościami są mniej ulegające złym trendom, są szczęśliwsze" – stwierdził w programie „Rezonans polityczny" i zaapelował o współpracę szkoły z instytucjami katolickimi. Nie ma to, jak wymyślać sobie abstrakcyjne doświadczenia, niepoparte żadnymi dowodami, a przy okazji zapominać o tym, że Polska jest, według prawa, świeckim państwem (naprawdę!).

***

Jarosław Gowin wcale nie odszedł z polityki. Byłego ministra sprawiedliwości zatrudnił Rzecznik Małych i Średnich Przedsiębiorców, jako doradcę-opiekuna zespołu ds. kosmetologii, powołanego pod koniec lipca 2026 r. Za niewinnym „doradzaniem" kryje się walka o poważne pieniądze – firmy kosmetologiczne zabiegają właśnie o to, by rząd nie zablokował im możliwości wykonywania inwazyjnych zabiegów upiększających, oddając je wyłącznie w ręce lekarzy. Gowin deregulowanie uwielbia, więc dostał pracę marzeń, i to znowu z pieniędzy podatników.

***

Trzy lata za kratami za podanie ciepłej zupy nielegalnemu migrantowi – takie przepisy chciał nam zaserwować europejski i demokratyczny rząd Donalda Tuska. Forsowana przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zmiana w kodeksie karnym penalizowała szeroko rozumiane „ułatwianie pobytu wbrew przepisom" rzekomo po to, by walczyć z przemytnikami ludzi, których już można karać na podstawie innych paragrafów. Pomysł wywołał ogólnopolskie oburzenie organizacji humanitarnych, RPO oraz Lewicy, więc na razie upadł. Niesmak pozostał.

***

Niech drżą samorządowcy, którzy w nadziei na łatwe zdobycie głosów ponad miarę pompują publiczne pieniądze w – lepsze i gorsze – lokalne kluby sportowe. Katowicka prokuratura zakończyła kilkuletnie śledztwo w sprawie niegospodarnego zarządzania środkami publicznymi przez byłych włodarzy Chorzowa. Za nieuzasadnione uznała dosypanie do kasy tamtejszego Ruchu ponad 20 mln złotych – czy to przez (nieoddane) pożyczki, czy przez zakup akcji. Gdy miasto utrzymywało Ruch, miejscowi kibole prowadzili szeroko zakrojoną działalność przestępczą, terroryzując spokojnych obywateli.

A.S.

eprasa.pl b620986762

Prominentni promilanci



Prawnicze kadry PiS: pijany prokurator buszuje w nocy w cudzym mieszkaniu, pijany sędzia leży półprzytomny na peronie.

14 października o godzinie 1.15 w nocy policjanci z Komendy Rejonowej Policji Warszawa II otrzymali zgłoszenie, że do jednego z mieszkań na Mokotowie wtargnął mężczyzna. Właściciel lokalu obaczył intruza, gdy był akurat pod prysznicem. Pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, była taka, że ma do czynienia ze zboczeńcem, bo ten zahipnotyzowanym wzrokiem wpatrywał się jego przyrodzenie. Gospodarz narzucił na siebie ręcznik i chciał wyprowadzić nieproszonego gościa, ale ten najpierw zaczął stawiać opór, a potem dał nogę. Właściciel mieszkania szybko się ubrał i ruszył w pościg. Dołączył do niego osiedlowy ochroniarz, który potraktował domniemanego zboczeńca gazem pieprzowym. Mężczyzna został obezwładniony.

Wkrótce przyjechał patrol policji. Zatrzymany oświadczył stróżom prawa, że nie ma przy sobie dokumentów, ale nazywa się Andrzej G. (nazwisko oczywiście znane red.) i... jest prokuratorem. Po zbadaniu alkomatem okazało się, że strażnik praworządności ma w sobie ok. 0,63 promila alkoholu. Poturbowany i spryskany gazem G. nie chciał skorzystać z pomocy lekarza. Twierdził natomiast, że pomylił mieszkania, myślał, że jest u znajomej, a tak w ogóle to nic się stało i nie ma powodów do interwencji policji (sic!).

Mądraliński

To bardzo ciekawa linia obrony. Bo gdy szef MSWiA Marcin Kierwiński został posądzony, że podczas próby przed uroczystością z okazji Dnia Strażaka był pijany, bo mówił tzw. pogłosem, ten sam prokurator Andrzej G. domagał się wszczęcia śledztwa.

„Minister Kierwiński nadzoruje służbę, z którą prokuratura najściślej współpracuje przy ściganiu przestępstw. Dlatego, jeśli na tak ważną osobę padł choć cień wątpliwości – nie przesądzając, co się naprawdę wydarzyło, ale biorąc pod uwagę medialny wydźwięk towarzyszący wystąpieniu ministra i późniejszym okolicznościom, np. związanym z badaniem trzeźwości – to konieczne są precyzyjne wyjaśnienia. Powinno zostać wszczęte śledztwo, niezależnie od tego czy i jakie zarzuty będą się pojawiały. Zgodnie z zasadami wyrażanymi w Kodeksie postępowania karnego, powinno przede wszystkim mieć na celu sprawdzenie, czy doszło do popełnienia jakiegokolwiek przestępstwa. Nie każde śledztwo musi się kończyć skierowaniem aktu oskarżenia, ale należy zbadać wszystkie okoliczności. (...) Wszystkie dowody powinny zostać przeprowadzone i zgromadzone w jednym postępowaniu i w zależności od jego wyników podjęte dalsze czynności. (...) Wszystko należy zgłębić, sprawdzić, zbadać i ogłosić publicznie, bo mamy do czynienia z osobą publiczną” – prawił prokurator w rozmowie z „Gazetą Polską Codziennie”.

Andrzej G. nie jest byle jakim prokuratorem. To zaufany człowiek Zbigniewa Ziobry i były prezes upolitycznionego Niezależnego Stowarzyszenia Prokuratorów „Ad Vocem”, skupiającego stronników skompromitowanego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. W latach 2007-2016 kierował Oddziałowym Biurem Lustracyjnym Instytutu Pamięci Narodowej w Gdańsku. Pod dojściu do władzy PiS w 2016 r. Ziobro zrobił go prokuratorem regionalnym w Gdańsku. Jego nazwisko przewija się w „raporcie Bodnara” o nadużyciach w prokuraturze za rządów PiS pod numerem 122 w rozdziale zatytułowanym „Postępowania dotyczące wykorzystywania prokuratury do prywatnych celów”.

Sprawa dotyczyła rozwiązania umowy zawartej w 2009 r. o współpracy pomiędzy Gminą Miasta Gdańsk a Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, którą podpisali Paweł Adamowicz i Paweł Machcewicz. Zawiadamiającym był Karol Nawrocki, wówczas p.o. dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, który znalazł rzekomo sfałszowany przez Adamowicza i Machcewicza aneks do umowy. Choć nie było ku temu przesłanek, wszczęto śledztwo, które potem umorzono. Zrobiono to tylko po to, aby pognębić znienawidzonych przez PiS Adamowicza i Machcewicza. Jak napisano w „raporcie Bodnara” „niezasadna decyzja o wszczęciu postępowania spowodowała podjęcie szeregu zbędnych czynności procesowych związanych m.in. z przesłuchaniem osób w charakterze świadków, powoływaniem biegłych oraz uzyskiwaniem i analizą danych telekomunikacyjnych różnych osób”.

W 2021 r. G. powrócił do pracy w biurze lustracyjnym IPN. Często zabiera głos w sprawach politycznych. Podobnie jak jego kamraci z „Ad Vocem” nie uznaje Dariusza Korneluka jako legalnego Prokuratora Krajowego.

Wesoła rodzinka

Kilka dni przed nocnym występem prokuratora G. swoje pięć minut miał inny nominat Ziobry. Andrzej Michałowicz ledwie w lipcu odebrał od Karola Nawrockiego nominację do Izby Karnej Sądu Najwyższego, a 8 października tuż przed godz. 16 leżał pijany (miał ponad cztery promile alkoholu w organizmie, co uznaje się za dawkę śmiertelną) z rozbitą twarzą na dworcu kolejowym w Słupsku. Policjanci udzielili poszkodowanemu pierwszej pomocy i wezwali karetkę pogotowia. Dopiero na izbie przyjęć okazało się, że moczymorda jest sędzią SN i w trakcie upadku przy wysiadaniu z pociągu stracił dwa górne zęby.

Po opatrzeniu Michałowicz opuścił szpital w towarzystwie żony Joanny Kołodziej-Michałowicz, która też jest sędzią i zasiadała w neo-KRS. W 2021 r. upolityczniona rada rozstrzygała konkurs na stanowisko sędziego Sądu Okręgowego w Białymstoku, który wygrała Ewa Kołodziej-Dubowska, siostra Kołodziej-Michałowicz. Prawniczka dostała nominację, mimo że nie miała najlepszej oceny pracy i przeciwko jej awansowi byli sędziowie z Białegostoku. Najbardziej bulwersujące jest, że Kołodziej-Michałowicz nie wyłączyła się z opiniowania siostry ani nie poinformowała o pokrewieństwie pozostałych członków neo-KRS. Żeby było ciekawiej, Ewa Kołodziej-Dubowska jest żoną Mariusza Dubowskiego, który był wówczas szefem Prokuratury Okręgowej w Warszawie – jednej z najbardziej upolitycznionych prokuratur za rządów PiS.

Warto też mieć na uwadze, że Andrzej Michałowicz zanim trafił do SN, dzięki pozycji w neo-KRS został neosędzią Sądu Okręgowego w Słupsku i prezesem tego sądu. I zgłosił kandydaturę żony do neo-KRS.

Pijacki rajd hejtera

Październik musi mieć w sobie jakąś moc przyciągania, bo w tym miesiącu, ale 2025 r., inny ziobrysta sędzia Jakub I. zaliczył pijacki dzwon uderzając samochodem w drzewo. Prawnik miał jakieś dwa promile w wydychanym powietrzu. Do wypadku doszło w pobliżu domu I. w Rejowcu Fabrycznym na Lubelszczyźnie. Sędziemu nic się nie stało, wycofał samochód na drogę i zaparkował na swojej posesji. Jednak świadkami zdarzenia były dwie kobiety, krewne jego sąsiadki, które o mało nie zostały potrącone. Okazało się, że feralnego dnia I. był na pijackiej imprezie z kolegami. Do domu został odwieziony przez znajomych, ale po jakimś czasie zgłodniał, wsiadł do auta i pojechał do pizzerii. Obsługa lokalu i klienci zeznali, że pan sędzia był mocno wstawiony – chwiał się na nogach i bełkotał. Chciał zamówić piwo, ale mu odmówiono. To w drodze powrotnej uderzył w drzewo... Dopiero teraz Sąd Najwyższy uchylił I. immunitet, a ponadto zawiesił go w czynnościach służbowych i obniżył wynagrodzenie o 50 proc. Uchwała jest nieprawomocna, a obrońcy sędziego zapowiedzieli złożenie zażalenia.

Na rozpatrzenie czekają też inne wnioski o uchylenie immunitetu I. M.in. za udział w tzw. aferze hejterskiej. Współpracownik Zbigniewa Ziobry miał działać wspólnie z innymi propisowskimi prawnikami w zorganizowanej grupie przestępczej, której celem było szkalowanie (głównie za pośrednictwem mediów społecznościowych i portali internetowych) sędziów sprzeciwiających się upolitycznieniu wymiaru sprawiedliwości. W ten sposób chciano nie tylko skompromitować niewygodnych sędziów, ale też odsunąć ich od piastowania stanowisk w sądownictwie, a także zainicjować wobec nich postępowania dyscyplinarne. Wykorzystywano do tego materiały z akt osobowych, które znajdowały się w Ministerstwie Sprawiedliwości, w tym informacje majątkowe, osobiste i tzw. dane wrażliwe.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl b620986762

WIARA CZYNI CZUBA

Cypr: pomysłowi mnisi

Dwaj mnisi z klasztoru Awwakum stanęli przed sądem. Wpadli przez kamery, które sami zamontowali.

W marcu 2024 r. monitoring nagrał, jak przełożony klasztoru Nektarios z mnichem Porfyriosem uprawiają seks. Ich zwierzchnik biskup Izajasz kazał wtedy przeszukać klasztor i tak wybuchła jeszcze większa afera. Wyszło na jaw, że mnisi wlewali mirrę do ukrytego pojemnika w krzyżu, by pozorować jej „cudowne" sączenie się. Dzięki temu mała wiejska świątynia przez cztery lata ściągała pielgrzymów z całej wyspy. A ci modlili się i płacili. W umieszczonym pod pralką sejfie znaleziono 807 tys. euro. Darczyńcy zeznają teraz w sądzie w Nikozji, że dawali tysiące euro na ikony, których nigdy nie dostali. Mnisi nie przyznają się do winy. Twierdzą, że dowody ich niewinności wynieśli z klasztoru „zamaskowani" ludzie biskupa. Według cypryjskich mediów, biskup miał wiedzieć o wszystkim od miesięcy, ale milczał. Czekając na wyrok, byli mnisi otworzyli cukiernię. Pieką torty weselne i chleb do komunii. O cudach już nie wspominają.

Grecja: „na księdza"

Na Wyspie Rodos 71-latek nie tylko udawał księdza, ale także prowadził klasztor.

O samozwańczym duchownym policja wiedziała już w 2021 r. Wtedy nie znalazła jednak żadnych obciążających go dowodów. Sprawa trafiła do archiwum. Ruszyła znowu po anonimowym liście, w którym autor przekonuje, że mężczyzna przedstawiał się jako wysłannik patriarchatu i zbierał pieniądze na budowę kościołów, wyciągając od ludzi całe majątki. Tym, którzy się sprzeciwiali, miał grozić podpaleniem domu lub skrzywdzeniem dziecka. 71-latek został wezwany do złożenia wyjaśnień. Śledczy prześwietlą pięć lat finansów jego „klasztoru": darowizny, konta bankowe i transakcje nieruchomościami. Według nich, może chodzić o ponad 120 tys. euro, pranie pieniędzy i uchylanie się od podatków.

Francja: Kościół i sekty

Konferencja Biskupów Francji podpisała dwuletnią umowę z Miviludes, rządową agendą do walki z sektami i manipulacją psychiczną. Będzie walczyć sama ze sobą?

Francuscy protestanci zawarli z nią podobne porozumienie prawie rok wcześniej, a zakony katolickie trzy miesiące temu. Umowa przewiduje wymianę informacji o zagrożeniach, analizę mechanizmów psychologicznego podporządkowania, szkolenia dla kościelnych liderów oraz kierowanie ofiar do ośrodków wyspecjalizowanej pomocy. Chodzi o sytuacje, w których religijny autorytet staje się narzędziem kontroli, a duchowe przewodnictwo przeradza się w uzależnianie ludzi od lidera. Pracy nie zabraknie; kościelne biuro, które zajmuje się takimi sprawami, przyjęło w ciągu ostatniego roku 171 zgłoszeń.

Włochy: „ta historia"

Sycylijski biskup Rosario Gisana z diecezji Piazza Armerina stanął przed sądem za kłamstwa w sprawie księdza pedofila. Prokurator żąda dla niego dwóch lat więzienia.

Chodzi o ks. Giuseppe Rugolo, prawomocnie skazanego za wykorzystywanie seksualne nieletniego. W podsłuchanej i zarejestrowanej rozmowie biskup przyznał, że „zatuszował tę historię". Według prokuratury, wiedział o nadużyciach od lat, nic nie zrobił, a ofierze proponował 25 tys. euro za milczenie. Sąd w sprawie księdza uznał, że bierność biskupa ułatwiała przestępstwa. Gisana odpowiada za fałszywe zeznania złożone w tamtym procesie. Biskup wciąż kieruje diecezją. Papież Franciszek nazwał go kiedyś „człowiekiem sprawiedliwym".



fot. X

Australia: biskup skazany

Były biskup diecezji Broome Christopher Saunders został skazany na 6,5 roku więzienia. Wykorzystywał seksualnie młodych Aborygenów.

Ta jedna z najgłośniejszych spraw nadużyć w australijskim kat. Kościele ciągnęła się osiem lat. Pierwsze śledztwo umorzono z braku dowodów. W 2022 r. własne dochodzenie wszczął Watykan, a rok później przekazał swój raport policji. Według prokuratury, biskup urządzał w kościelnych domach zakrapiane imprezy, a alkohol i papierosy dla młodych mężczyzn kupował za kościelne pieniądze. Choć ujawniony raport Watykanu wskazywał, że duchowny prawdopodobnie skrzywdził czterech młodych Aborygenów, a kolejnych 67 mógł uwodzić, udowodniono mu jedynie dwa przestępstwa. Saunders wciąż jest biskupem seniorem. O jego statusie w Kościele zdecyduje Stolica Apostolska.

W. Brytania: pośrednik Boga

Chris Brain, były ksiądz anglikański, który prowadził w Sheffield modną wspólnotę, łączącą rave z nabożeństwem, został uznany za winnego gwałtu i napaści seksualnych.

W latach 1986-1995 Brain kierował wspólnotą Nine O'Clock Service, działającą w ramach Kościoła anglikańskiego. W szczytowym okresie należało do niej około 500 osób. Według prokuratury, Brain odcinał członków od rodzin, przejmował kontrolę nad ich finansami, a młode kobiety, zwane lycrowymi zakonnicami, miały „opiekować się" nim w jego domu. Ława przysięgłych uznała go za winnego 17 napaści seksualnych na dziewięć kobiet. Teraz sąd w Londynie orzekł o jego winie m.in. w sprawie o kolejny gwałt – zwabił pokrzywdzoną do mieszkania, upił alkoholem i wykorzystał seksualnie. Ksiądz usłyszał już 22 zarzuty popełnienia przestępstw wobec 13 kobiet. Karę za wszystkie sąd wymierzy podczas osobnej rozprawy. Do tego czasu Brain pozostaje w areszcie. Ofiary mówią, że Kościół dowiedział się o sprawie 30 lat temu, ale się nią nie zajął. Śledztwo dotyczące tego wątku dopiero się rozpoczyna.

Luksemburg: czas apostazji

Czy apostaci będą mogli wreszcie zniknąć z kościelnych rejestrów? Trybunał Sprawiedliwości UE rozpatruje sprawę, która może stać się przełomem dla wszystkich, którzy chcą formalnie odciąć się od Kościoła katolickiego.

Spór rozpoczął się w Belgii, gdzie mężczyzna ochrzczony w dzieciństwie zażądał usunięcia swoich danych z ksiąg chrztu. Diecezja Gandawy odmówiła, odnotowując jedynie, że wystąpił z Kościoła. Mężczyzna uznał to za niewystarczające i powołał się na RODO, w tym prawo do usunięcia danych osobowych. Sprawa trafiła do TSUE. 1 października 2026 r. rzeczniczka generalna Trybunału uznała, że unijne przepisy o ochronie danych mogą obejmować również księgi chrztu. Nie oznacza to jeszcze, że każdy będzie mógł zażądać wykreślenia swojego nazwiska, ale jeśli Trybunał podzieli tę opinię, Kościół może stracić możliwość automatycznego odmawiania takim wnioskom. Ostateczny wyrok jeszcze nie zapadł, a Komisja Konferencji Biskupów UE ostrzega przed „konsekwencjami dla autonomii Kościoła".

Watykan: odwrócona piramida

Kościelni prawnicy z komisji działającej przy Synodzie o synodalności zaproponowali zmianę w Kodeksie Prawa Kanonicznego. W przepisie o nieomylności na pierwszym miejscu mieliby stać wierni, a nie papież.

Komisja Kanoniczna chce, by przepis o nieomylności rozpoczynał się od zdania, że wierni jako całość nie mylą się w sprawach wiary. Obecnie na jego szczycie znajduje się papież, a potem biskupi. Wierni nie są tam uwzględnieni. Komisja proponuje też m.in.: obowiązkowe rady parafialne, synody diecezjalne co dziesięć lat i świeckich sędziów kościelnych. Według projektu, rada kapłańska musiałaby zatwierdzać otwieranie i zamykanie parafii, a rady finansowe publikować roczne sprawozdania. Jeśli zaś Watykan przez rok nie odpowie na uchwały regionalnych zgromadzeń biskupów, te mogłyby wejść w życie bez jego zgody. Tradycjonaliści już ostrzegają, że to „aberracja w nauczaniu Kościoła". Tak naprawdę byłaby to drobna niedogodność w sprawowaniu władzy przez kościelnych hierarchów.

eprasa.pl b620986762

POLETKO PANA B.©

KATOLICKI BETON

Karol Nawrocki złożył wizytę na Filipinach. Przyjmując zaproszenie z Manili, już wiedział, że w północnej części Filipin powstanie najwyższy na świecie pomnik Jezusa Chrystusa, wyższy niż jego kolega z Rio de Janeiro czy nasz gigant ze Świebodzina z anteną w głowie. 207 metrów – niemal cztery razy więcej niż Maryja w Konotopiu! Na pokład samolotu Nawrocki zabrał reprezentanta szczecińskiej firmy SLIPFORM, która chce uczestniczyć w tym nowatorskim projekcie, gdyż zna się na wznoszeniu wysokich konstrukcji betonowych. „Podczas wizyty prezydenta Karola Nawrockiego na Filipinach inwestor otrzymał gotową koncepcję monumentu" – chwali się SLIPFORM na swojej stronie internetowej. I tylko jedno nie gra w tym spektaklu: „Dzięki naszej innowacyjnej technologii szalunków ślizgowych, opracowanej i wdrożonej przy wsparciu funduszy europejskich, konstrukcja będzie mogła powstawać w sposób ciągły, zgodnie z wcześniej zaprogramowaną trajektorią, z zakładaną dokładnością do 3 mm". Nawrocki „Po Pierwsze Polska" reklamuje za granicą innowacje za unijne pieniądze?

BARANKI BOŻE

Wraz z Domem Edyty Stein zapraszamy na wyjątkowy koncert rodzinnego zespołu wokalnego HARPA DEI" – kusili karmelici bosi z Wrocławia. Wyjątkowy koncert firmował brat Eliasz, założyciel wspólnoty Agnus Dei z Niemiec. Jego zespół wystąpił w dwóch wrocławskich kościołach, gościł też u bernardynów w Krakowie na zaproszenie kurii (!). Wtem gruchnęła wieść, że koncertuje podejrzana sekta, która działała wcześniej w Ekwadorze. W roku 2018 r. biskup diecezji Santo Domingo rozwiązał tamtejsze stowarzyszenie Agnus Dei pod zarzutem, że brat Eliasz ma „nieodpowiedni wpływ" na członków wspólnoty, gdyż obciąża go 8 lat życia w cudzołóstwie oraz wyrok za czyny seksualne wobec małoletnich. Polscy „wszyscy święci", którzy tę grupę reklamowali, gwałtownie się od niej odcięli. „Nie mieliśmy wiedzy o zarzutach ciążących na samym założycielu oraz o nieuregulowanym statusie kanonicznym wspólnoty Agnus Dei" – zapewnia o. Mateusz Filipowski, delegat ds. ochrony dzieci i młodzieży u karmelitów bosych. Ale czy poziom koncertu zależy od statusu kanonicznego wykonawców?

PROBOSZCZ POD OSTRZAŁEM

Wrze w parafii Matki Boskiej Fatimskiej w Krakowie. Były organista Edmund Galas skierował do kardynała Rysia skargę na jej proboszcza ks. Jarosława Nowaka. Zarzuca mu niewłaściwe traktowanie, duchowny bowiem miał czepiać się „złego wykonania" psalmów i antyfon. W rzeczywistości poszło o kasę: Galas domagał się terminowych wypłat oraz rozliczenia nadgodzin. „Poważnie zachorowałem: szpital, chemia w kroplówce, a on dzwoni i pyta, czy znalazłem na zastępstwo jakiegoś organistę" – opowiada Galas o swoim proboszczu „Gazecie Wyborczej". Odkąd w roku 2020 ks. Nowak objął parafię, odeszło 4 wikariuszy i ok. 40 ministrantów, a frekwencja tak spadła, że zrezygnowano z trzech mszy. Była też awantura proboszcza z kościelną, uwieńczona zamknięciem na klucz wikarego, który przyszedł z pomocą kobiecie. Ks. Nowak pożyczył parafii 680 tys. zł na remont kościoła. Spłatę rozłożył na 68 rat po 10 tys. zł, ale w harmonogramie spłaty pojawiły się dodatkowe koszty, 208 tys. zł niewpisane do umowy. Wierni zawiadomili o tym skarbówkę, pytając, jak to możliwe, że proboszcz jednocześnie zarządza parafią i jest jej wierzycielem. Podejrzewają, że pożyczka była fikcyjna.



ROMA LOCUTA

Po latach przepychanek umowa na budowę Roma Tower, wysokiego na 170 m apartamentowca u zbiegu ulic Emilii Plater i Nowogrodzkiej w Warszawie, została zawarta. Wartość kontraktu: 840 mln zł netto. Archidiecezja warszawska wniosła „w posagu" grunt. Inwestorzy, to międzynarodowe towarzystwo: polskie BBI Development, belgijskie Liebrecht & wooD, czeski miliarder Michal Strnad z firmy Akipia. Śródmiejski moloch ma być gotowy na przełomie 2030 i 2031 r. Jego zarys ujawnił prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, publikując na YouTube filmik o swoim flagowym projekcie, Nowym Centrum Warszawy. Widać tam górujący nad okoliczną zabudową Roma Tower, ustawiony skosem do siatki ulic. Dysponując wartym grube miliony gruntem, ówczesny szef archidiecezji – kardynał Kazimierz Nycz – mógł go przeznaczyć pod szpital, szkołę, dom dziecka, schronisko dla samotnych matek. Lecz jak rasowy kapitalista postawił na inwestycję, która przyniesie największy zysk.

NIEŚWIĘTY OBRAZ

W katolickim kościele św. Marii Magdaleny w Nowołukomlu na Białorusi zawisł obraz, który przedstawia św. Carla Acutisa, „patrona internetu". Był to głęboko wierzący włoski nastolatek, biegły w programowaniu. Tworzył strony internetowe dla organizacji katolickich, powołał do życia serwis dokumentujący cuda z całego świata. W roku 2006, w wieku 15 lat, Carlo zmarł na białaczkę. W 2025 r. został kanonizowany. Nic dziwnego, że jego portret pobłogosławił Tadeusz Kondrusiewicz, arcybiskup senior diecezji mińsko-mohylewskiej, a relacje z tej uroczystości dotarły do wielu katolików, także w Polsce. I nagle ktoś wykrył, że to nie tradycyjny obraz, tylko powiększona grafika wygenerowana przez AI! Teraz wierni krytykują abp. Kondrusiewicza, który tę fałszywkę pobłogosławił, i podkreślają, że produkt sztucznej inteligencji nie może zostać uznany za święty obraz. Dlaczego? Acutis w tej wersji jest bardziej podobny do samego siebie niż gdyby go namalować na płótnie. Ach, te wschodnie wpływy – „pisanie ikon", to tradycyjna sztuka sakralna...

W BIAŁY DZIEŃ

Dzwon w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa przy ul. Armii Krajowej w Gdyni bije dwa razy dziennie: w południe i o godz. 16.15. Jak podkreśla proboszcz ks. Jacek Bramorski, przez 45 lat nikomu to nie przeszkadzało, aż nagle znalazły się dwie osoby, które nie mogą tego znieść. Jedna z nich z powodu hałasu nie może odpocząć po nocnej zmianie, ale kto jej każe pracować po nocach? Ksiądz np. pracuje za dnia, a w nocy śpi, jak Bóg przykazał... Gdyński magistrat poważnie potraktował skargi. „Sprawą zajmuje się Wydział Środowiska Urzędu Miasta Gdyni. Urzędnicy zebrali część materiału dowodowego i przeprowadzili pomiary hałasu. Wykazały one przekroczenie obowiązujących w tym miejscu norm" – mówi Tomasz Złotoś, rzecznik Urzędu Miasta. Co dalej? Sprawa będzie się pewnie długo kotłować w sądzie. Taniej by wyszło kupić stopery do uszu.

HABEMUS LEGATUM!

Jest szansa na przełamania tzw. kryzysu ambasadorskiego. „Warszawka" żyje plotką, że jest chętny do kierowania polską placówką w Watykanie. To były prezenter kanału Religia TV, autor książek religijnych, kandydat na duchownego, kandydat na urząd prezydenta RP, były lider Polski 2050, były marszałek Sejmu – poseł Szymon Hołownia. Z koalicją żyje dobrze, bo ją współtworzy, prezydenta zaprzysiągł, to znaczy, że ten go lubi. Odkąd nie jest marszałkiem i przestał być w centrum uwagi, nie lubi już polityki. Do tego ma doświadczenie dyplomatyczne, bo nie tak dawno marzył o wysokiej funkcji w ONZ. To co prawda trochę tak, jakby ambasadorem Polski w USA zrobić Polaka, byłego pracownika ambasady USA w Warszawie, bo „zna amerykańską dyplomację", ale przecież nikt w tym rządzie nie pomyśli, by do Watykanu wysłać kogoś, kto zadba o nasze interesy, czyli najlepiej ateistę... **(D.C.).**

eprasa.pl b620986762

Kościelna telenowela

Zemsta, podszywanie się pod kanclerza kurii, bulwersujące nagrania, parafialne pieniądze, „molestowanie", próba przekupstwa, czarny charakter i konferencja w Sejmie... W sprawie ks. Rafała C. i biskupa Andrzeja Czai z diecezji opolskiej brakuje już chyba tylko złego brata bliźniaka albo trupa wypadającego z szafy.



Kilka ogólnopolskich portali ogłosiło w ostatnich dniach, że ks. Rafał C., były proboszcz z Chałupek pod Raciborzem, „stanie przed sądem". Tak naprawdę proces w jego sprawie toczy się już od ponad dwóch lat. Obecnie w Sądzie Rejonowym w Żorach. Odbyło się już siedem rozpraw i sześć posiedzeń, przesłuchano dziewięcioro pokrzywdzonych, a sąd wciąż jest na etapie zbierania dowodów. Z każdym jest coraz ciekawiej. Pod warunkiem, że ktoś lubi opery mydlane albo brazylijskie telenowele.

Nieudany wyjazd do Włoch

Wszystko zaczęło się wczesną wiosną 2018 r. Ksiądz Rafał C., od 10 lat proboszcz parafii św. Anny w Chałupkach, niewielkiej wsi na Śląsku, przygotowuje się do przeniesienia do parafii we włoskiej archidiecezji Vercelli. Jak później przekonuje, „dekret w tej sprawie" jest już podpisany. Do wyjazdu jednak nie dochodzi. Opolska kuria twierdzi, że powodem są skargi parafian. Wiernym mają nie podobać się m.in. „dziwne relacje" proboszcza z szafarzem. Biskup Andrzej Czaja przyjeżdża więc do Chałupek. W efekcie ks. C. nie tylko nie jedzie do Włoch, ale zostaje przeniesiony do innej parafii jako rezydent. Rada parafialna zawiadamia prokuraturę w Raciborzu o przywłaszczeniu przez proboszcza 6 tys. zł z kasy parafialnej. W maju 2019 r. biskup zawiesza go w czynnościach kapłańskich.

O tym wszystkim dowiadujemy się jednak dopiero w 2021 r., gdy w Sejmie wybucha skandal, o którym mówi cała Polska.

Konferencją w konferencję

18 marca 2021 r. ks. Rafał C. staje przed kamerami w Sejmie na konferencji zorganizowanej przez posłankę Lewicy Joannę Scheuring-Wielgus.

– Zgodę na wyjazd dostałem w czerwcu 2018 r., niedługo po wizycie biskupa w mojej parafii. W tym samym dokumencie biskup odwołał mnie z urzędu proboszcza, podziękował za dotychczasową pracę i udzielił błogosławieństwa na dalszą kapłańską drogę. Później kuria zaczęła przeciągać sprawę. Zaczęto domagać się spełnienia jednego warunku: „ściągnięcia gaci". Zaczęły się też wulgarne telefony i SMS-y do mnie i do moich bliskich – mówił wtedy.

Podczas konferencji w Sejmie ksiądz pokazuje w telefonie nagrania gróźb kierowanych do niego i do jego ojca.

„Biskupowi odmówił, mnie może nie odmówić. Pokaże, co ma pokazać, zabawimy się, będzie wolny. I wyjedzie do Italii. (...) Proszę zapamiętać, że ja mogę wszystko zmienić. Jeżeli nie, zniszczymy go raz na zawsze" – słychać na jednym z nich.

Według biegłej z zakresu fonoskopii Grażyny Góralewskiej-Łach z warszawskiego Sądu Okręgowego, która przez lata pracowała w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Komendy Głównej Policji, głos należy do kanclerza kurii opolskiej ks. Wojciecha Lippy.

Autorytet biegłej, nazwisko znanej posłanki, udział w konferencji aktywistki i radnej Warszawy Agaty Diduszko-Zyglewskiej sprawiają, że sprawę opisuje szereg mediów m.in. Onet, „Super Express" i oczywiście „FpM". Ludzie komentują ją w sieci i na ulicach. Z czasem księdzu C. próbują pomagać Maciej Kopiec, wówczas poseł Lewicy ze Śląska i ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski.

Jeszcze w dniu konferencji w Sejmie biskup Czaja organizuje własną. Oskarżenia nazwa „jednym wielkim kłamstwem" i próbą zniszczenia jego samego oraz kurii. Później wytacza byłemu podwładnemu proces cywilny. Kanclerz Lippa publicznie deklaruje, że w każdej chwili odda próbkę głosu do niezależnej ekspertyzy. Kuria przekazuje, że proboszcz miał planować kosztowne inwestycje w Chałupkach: sprowadzenie relikwii Jana Pawła II, kamienia z Grobu Pańskiego w Jerozolimie i budowę nowej toalety. Według biskupa, kłopoty z księdzem C. zaczęły się jednak wcześniej – wraz z pojawieniem się w parafii nowego szafarza.

Retrospekcja i nieoczekiwane zwroty akcji

Jak w każdym zawiłym serialu, żeby zrozumieć bieg wydarzeń, trzeba cofnąć się w czasie. W tej sprawie jest podobnie. Jest więc rok 2014 r. Ks. Rafał C. cieszy się w Chałupkach dobrą opinią. Pewnego dnia staje przed parafianami z niezwykłą wiadomością: na plebanii zamieszka Rafał S., mężczyzna, który – jak zapewnia proboszcz – został cudownie uzdrowiony z nieuleczalnej choroby. Ksiądz przedstawia go jako swojego „duchowego syna". Za zgodą kurii Rafał S. zostaje mianowany nadzwyczajnym szafarzem komunii. Na temat S. krążą różne plotki. Ma być on bratem w mało znanej wspólnocie franciszkańskiej, dziennikarzem albo pracownikiem prywatnej firmy. Według prokuratury, jego i księdza C. łączy intymna relacja.

We wrześniu 2021 r. prokuratura w Opolu kieruje do sądu akt oskarżenia przeciwko Rafałowi C. i Rafałowi S. Dotyczy zarzutu kradzieży tożsamości biskupa i kanclerza. Kluczowym dowodem ma być komputer księdza C. Według ustaleń śledczych, C. i S. wysyłają, m.in. księżom, wiadomości z propozycjami seksualnymi, sugerujące „dziwne upodobania" hierarchy. Wątek pieniędzy z parafialnej kasy ma swój własny, równie barwny odcinek. Gdy prokuratura w Raciborzu bada sprawę, do biegłego psychiatry dzwoni telefon z propozycją korupcyjną. W zamian za 30 tys. euro biegły ma wystawić opinię, że ksiądz C. jest ciężko chory. Numer jest włoski, ale telefon należy do C. Tak się składa, że C. i S. są wtedy na wycieczce we Włoszech. Przesłuchany jako świadek C. zeznaje, że telefon mu tam ukradziono.

To jednak jeszcze nie koniec. Rafał C. i Rafał S. składają w prokuraturze w Jastrzębiu-Zdroju kilka zawiadomień o nielegalnych powiązaniach biskupa z prokuratorami i policjantami. Dołączają zrzuty ekranu wiadomości, z których ma wynikać, że prokuratorzy przekazują biskupowi informacje ze śledztw i konsultują z nim swoje decyzje. Według śledczych, zrzuty i bilingi były sfabrykowane. W tym czasie ks. C. co najmniej kilka razy w tygodniu dzwoni do naszej redakcji z prośbą o kolejne publikacje na swój temat. Im bardziej nalega, tym bardziej nabieramy dystansu. Wkrótce wszystkie postępowania wszczęte z jego i S. zawiadomień zostają umorzone. Śledczy ustalają też, że nagrania z rzekomym głosem kanclerza Lippy są spreparowane.

Według doniesień „Gazety Wyborczej", Rafał S. przyznał śledczym, że to on preparował SMS-y, e-maile i nagrania rozmów, także te pokazywane w Sejmie. Znający kulisy sprawy rozmówca gazety twierdzi, iż miał też zeznać, że działał pod presją księdza...

Na sali w Żorach

Ile czasu potrwa jeszcze ta kościelna „telenowela"? Rafał C. nie jest już księdzem. Rafał S. stracił prawo do rozdawania komunii. Teraz głos ma sąd, a lista zarzutów jest długa. Za próbę kupienia opinii biegłego psychiatry grozi do dziesięciu lat więzienia, za fałszywe zeznania do ośmiu; do dwóch lat – za fałszywe oskarżenie biskupa, kanclerza, prokuratorów i policjantów, a także za zawiadomienie policji o pobiciu, do którego nie doszło. Osobno przed sądem w Opolu obaj odpowiadają za podszywanie się pod biskupa i kanclerza oraz groźby karalne. Ustalenia śledczych mocno ich obciążają. Rafał C. nadal jednak utrzymuje, że jest ofiarą.

Jakkolwiek ten serial się skończy, już dziś widać, jak łatwo wszyscy uwierzyliśmy w najgorszy scenariusz. Po latach przerażających historii z udziałem duchownych opinia publiczna, politycy, a nawet biegli byli gotowi przyjąć go bez mrugnięcia okiem. Ta nieco żenująca historia ma jednak swoje drugie dno. Jeśli sąd potwierdzi ustalenia prokuratury, to obrońcy instytucji dostali właśnie gotowy argument do obrony, że „oskarżenia bywają zmyślone". Scenarzyści tej telenoweli mogą jeszcze usłyszeć wyrok.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl b620986762

Kundelek – to brzmi dumnie



Mogą być wysokie lub niziutkie, podobne do rasowych lub do nikogo nie podobne. Na pewno jedno je cechuje: są cudne i mądre. I co najważniejsze, kundelki potrafią kochać całym swoim sercem.

Wilczur niskopienny, trochę labrador, terier o wszystkich rodzajach sierści i z pyszczkiem mopsa, piesek o rozbrykanych uszach bardziej podobny do nietoperza niż kolegi z rodowodem na spacerze.

Certyfikowany prestiż

Człowiek zakochał się w psach rasowych, obnosząc się z nimi jak z modnym gadżetem. Bo rasowe psy to nie tylko certyfikat, określona litera, na którą musi zaczynać się imię, to również całkowite utowarowienie zwierzęcia i podporządkowanie swojemu egoizmowi. Dla ludzkiej przyjemności, wygody czy z powodu naszych emocjonalnych deficytów tworzy się psy ras brachycefalicznych (mops, buldog francuski, buldog angielski, pekińczyk), wywołując celowe deformacje kości trzewioczaszki. Te zabiegi selekcyjne powodują zespół BOAS (*Brachycephalic Obstructive Airway Syndrome*), co oznacza zwężenie nozdrzy, przerost podniebienia miękkiego, zapadnięcie krtani i wynicowanie kieszonek krtaniowych. Wskutek tych zmian psy cierpią na permanentną duszność, bezdechy senne, chroniczne niedotlenienie i niewydolność termoregulacyjną.

Owczarki niemieckie (cenione za obronność, pracujące dla człowieka) poddano selekcji ukierunkowanej na obniżenie linii grzbietu, co grozi dysplazją stawów biodrowych i łokciowych, mielopatią degeneracyjną, chorobą von Willebranda oraz zewnątrzwydzielniczą niewydolnością trzustki. Labrador retriever, ceniony za opiekuńczość (jakże dobry jest dla dzieci), jest obciążony mutacją genu DNM1, wywołującą zapaść wysiłkową (*EIC – Exercise Induced Collapse*), chorobami kardiologicznymi oraz zaćmą. Choć tak odmienne w wyglądzie i masie ciała leonberger i maltańczyk przez mutacje mają podobne problemy zdrowotne. Leonberger, wyhodowany jako imitacja lwa/niedźwiedzia i wielkiego ego człowieka – cierpi na polineuropatię i skręty żołądka. Z kolei miniaturowy maltańczyk, pozbawiony podszerstka, zmaga się z wrodzonym zwichnięciem rzepki, atrofią siatkówki i wadami zgryzu, do tego wymaga ciągłej pielęgnacji, jaką wilk czy lis robi sobie sam (np. mycie oczu).

Biblijne niewolnictwo

Psy rasowe realizują biblijną zasadę poddaństwa przyrody. W księdze stworzenia mamy wszak to piękne zdanie, że świat jest dla człowieka, a wszystko, co po nim chodzi, pełza, skacze czy pływa, ma służyć człowiekowi. Jakby tego było mało, bóg, gdy już utopił świat ocaliwszy jedynie Noego z rodziną, po osuszeniu Ziemi, nakazał swojemu wybrańcowi, by tak traktował zwierzęta, żeby się go bały. Więc zero empatii i miłości do zwierząt – sam bóg tak chciał! I wierny mu człowiek to realizuje, przy okazji spełniając swoje marzenia o rządzeniu innymi.

Chcesz dziecko, ale nie chcesz całego pakietu obowiązków i marzysz, by swojego dzidziusia zostawić na całą noc, by poszaleć na imprezie? Proszę bardzo: buldożek z niemowlęcą twarzą o wielkich oczach i słodkim nosku. Potrzebujesz pokazać, że nic cię nie rusza i masz żelazną duszę wojownika? Proszę bardzo: wilczur jak wilk u twojego boku niejednego przerazi. Bóg przecież nie chce, żeby człowiek dbał o zwierzęta, a ksiądz nawet nie spyta podczas spowiedzi, co im robisz. Ważniejsze jest przecież z kim sypiasz i jak się sprawujesz w sypialni, gdy jesteś sam. Więc torturowanie zwierząt, eksploatowanie samic, by rodziły kolejne mioty podatnych na chorobę istot tylko dlatego, że są modne i ludzie są skłonni za nie dużo zapłacić, nie wchodzi do rejestru katolickich przewinień. Zwierzę to tylko zwierzę, więc ksiądz dobrodziej nie zapłacze nad porzuconym psem czy kotem. Człowiek ma swoje prawa i może wszystko.

Nienormatywna miłość

W niedzielę (25.10.) wypada dzień kundelków. Droga ich ewolucji była zawiła i pełna napięć. Wilk zbyt blisko podszedł pod ludzkie siedliska, osierocone szczeniaki zostały wychowane przez stado ludzkie. Szczekanie stało się odpowiedzią na nawoływanie człowieka. Całe długie pokolenia kooperacji międzygatunkowej zbudowały szczególną więź. Gdy wilk zdobywał miejsce w życiu człowieka i stawał się psem, ludzie jeszcze nie byli oderwani od natury. Dopiero rozwój cywilizacji, kamienne domy, pola uprawne, tomy dzieł filozoficznych i kapłani w zdobnych szatach zaczęli nauczać o odmienności człowieka i jego nadrzędnej roli w przyrodzie.

Pies, najlepszy przyjaciel człowieka, stał się też największym niewolnikiem jego świata. Wykorzystywany do eksperymentów, zatrudniany do ciężkiej pracy, umierający dla człowieka tropiąc ślady życia na pogorzeliskach lub zasypanych śniegiem terenach, ciągle jest w pracy i ciągle wymaga się od niego, by realizował ludzkie, a nie własne cele.

Zamknięci w swoim kulturowym kokonie nie dostrzegamy, że pies, niepozorny kundelek, uczy nas miłości i przebaczania. To pies bowiem wybacza człowiekowi najgorsze zdrady i przewinienia, to pies kocha mimo wszystko i to pies zostaje odepchnięty w imię religijnych przesądów.

Dla Kościoła katolickiego to tylko zwierzę, istota bez duszy. Niektórzy katolicy po dziś dzień potrafią się oburzać rozpieszczaniem psa i niejeden tiktokowy kapłan przestrzegał przed „psiectwem" oraz miłością międzygatunkową. Wedle katechizmu katolickiego, miłość, szacunek i pomoc winny występować tylko między ludźmi. Tymczasem od pokoleń ten potomek wilka na małych łapach i z podkręconym ogonem uczy nas tego, co najcenniejsze: bezwarunkowej przyjaźni, asymetrii dawania, czułości mimo odrzucenia. Czas zatem dostrzec wreszcie tę wspaniałą drogę, jaką dzielimy z istotami, które wraz ze swoją obecnością ofiarowują nam wierność, miłość, przebaczenie. Kto bowiem potrafi tak cieszyć się, witać i wszystko, co złe puścić w niepamięć, jak ta niezwykła istota?

Pies nie ma duszy? Jeśli rzeczywiście, to może i dobrze, bo jeżeli byłaby to katolicka dusza, to nigdy by nam nie wybaczył, kim dla niego jesteśmy. Dzień kundelka trzeba obejść godnie – jesiennym spacerem i smaczkami. Dobrego merdania i długiego spaceru życzę Państwu i Państwa PT Kundelkom.

prof. Joanna Hańderek

Krwawy żak

Student kryminologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL) jest podejrzany o przygotowania do zabójstwa na tle rasistowskim – poinformowała lubelska prokuratura. Chciał wziąć udział w „krwawym piątku".

Po serii ataków w szkołach na Mazowszu w internecie zaczęły krążyć informacje o planowanym na 9 października „krwawym piątku" – rzekomym wyzwaniu, w ramach którego miało dojść do kolejnych napaści. Mimo iż policja nie potwierdziła, że taka akcja istniała, służby rozpoczęły działania. Funkcjonariusze przeprowadzili prawie 160 tys. kontroli w szkołach w całym kraju i monitorowali sieć. W efekcie zatrzymano prawie 200 osób, w większości nieletnich. Wśród nich znalazł się także 21-letni Ukrainiec, student KUL.

Policję zawiadomiły władze uczelni, którym niepokojące sygnały przekazały uczestniczki seminarium. Według ustaleń śledczych, Jarosław F. wychwalał na zajęciach rasistowskie zbrodnie i zapowiadał, że w ramach „krwawego piątku" zabije przypadkowe osoby. Próbował też namówić inną studentkę do wspólnego zabójstwa i oferował jej nóż. 21-latka zatrzymano w pracy, za kierownicą taksówki na aplikację. Mundurowi znaleźli przy nim nóż, a w miejscu jego zamieszkania kolejne dwa specjalistyczne noże do rzucania.



fot. Policja Lublin

– Wstępna analiza zabezpieczonego sprzętu elektronicznego (dwóch telefonów oraz laptopa) wykazała, że wyszukiwał w sieci treści związane z torturami oraz zadawaniem bólu – poinformował Marcin Kozak, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Lublinie.

Zatrzymany usłyszał już zarzut czynienia przygotowań do zabójstwa z motywacji zasługującej na szczególne potępienie oraz z pobudek wynikających z nienawiści na tle różnic rasowych. Nie przyznał się do winy, a w wyjaśnieniach kwestionował ustalenia śledczych. Nie leczył się psychiatrycznie, a wśród studentów uchodził dotąd za osobę cichą i spokojną. Sąd aresztował go na trzy miesiące. Grozi mu do 15 lat więzienia.

Nie jest to pierwszy taki przypadek na tej katolickiej uczelni. Pod koniec listopada ub.r. funkcjonariusze ABW zatrzymali 19-letniego wówczas Mateusza W., studenta pierwszego roku prawa. Był podejrzany o „przygotowywanie masowego zamachu na jednym z jarmarków świątecznych, którego planował dokonać z wykorzystaniem materiałów wybuchowych". Celem ataku miało być wsparcie Państwa Islamskiego. Akt oskarżenia przeciwko niemu trafił do sądu w sierpniu br.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl b620986762

Pytania dotyczące Biblii (262)

Jezus w świetle ewangelii(1)

Pan Aleksander pisze: „Mam kilka pytań odnośnie Jezusa. Czy Jezus i Chrystus to dwa różne jego imiona? Co sądzić o cudach, jakich dokonywał? W jakim celu postawiona została straż przy grobie Jezusa? Czy Jezus zmartwychwstał w ciele czy w duchu? Czy wstąpił do piekieł, jak uczy Kościół katolicki? Czy od razu po zmartwychwstaniu dalej nauczał? Kogo i jak długo? Z nadzieją oczekuję na odpowiedź".



Panie Aleksandrze, oczywiście postaram się odnieść do Pańskich pytań. Nie wiem tylko czy moja odpowiedź Pana usatysfakcjonuje, zwłaszcza że relacje ewangelistów są dość niespójne.

Jedno imię

Cztery ewangelie jednoznacznie stwierdzają, że imię „Jezus" (hebr. *Yeszua*, gr. *Iesous*), to jedyne imię pierworodnego syna Marii i Józefa (Łk 1,31; 2,7.21; Mt 1,21). Było ono popularne wśród Żydów i nosił je już następca Mojżesza – Jozue (Lb 27,18-23). Ponieważ jednak zwolennicy Jezusa uważali go za Mesjasza (hebr. *Masziach*, gr. *Christos* – „namaszczony"), stąd też określenie „Jezus Chrystus" jest połączeniem imienia własnego (Jezus) z nazwą jego posłannictwa. Uczniowie Jezusa wierzyli bowiem, że jest on nie tylko Zbawicielem w sensie duchowym, ale także synem Dawidowym w znaczeniu politycznym, chociaż sam Jezus nie przypisywał sobie żadnego tytułu o politycznych konotacjach. Mimo to, wśród uczniów Jezusa właśnie to drugie znaczenie było dominujące. Zwłaszcza że sam Jezus zapowiadał nadejścia Królestwa Bożego. I być może dlatego uczniowie widzieli w nim głównie wybawiciela politycznego, który odbuduje królestwo Izraela (por. Łk 1,67-75;19,11; 24,21; Dz 1,6). Prawda jednak jest taka, że chociaż Jezus oczekiwał urzeczywistnienia w całej pełni Królestwa Bożego, to nie zamierzał sam podejmować jakichkolwiek militarnych kroków w tym celu. Świadczą o tym następujące jego wypowiedzi:

– druga prośba zawarta w Modlitwie Pańskiej: „Przyjdź Królestwo twoje" (Mt 9,10), która wprost nawiązuje do interwencji samego Boga;

– nacisk Jezusa na niestawianie oporu i niestosowanie przemocy nawet wobec wrogów: „Włóż miecz swój do pochwy; wszyscy bowiem, którzy miecza dobywają, od miecz giną" (Mt 26,52, por. Mt 5,39-41.44; Łk 6,27.29);

– aprobata związana z płaceniem podatków cesarzowi: „Oddawajcie, co jest cesarskie, cesarzowi" (Mt 22,21), co przez zelotów było nie do przyjęcia;

– słowa konającego Jezusa: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił" (Mk 15,34; Mt 27,46), które potwierdzają, że Jezus rzeczywiście oczekiwał na Bożą interwencje, co oznacza też że nie zamierzał umierać.

Cuda Jezusa

A co z cudami, jakich dokonywał Jezus? Według Biblii, cuda (hebr. *ot* – znak; *mofet* – cud; gr. *dynamis* – moc) to znaki bezpośredniej działalności Boga, które można rozpoznać przede wszystkim w jego dziełach stworzenia. Jak bowiem napisano: „Każdy dom jest przez kogoś budowany, lecz tym, który wszystko zbudował, jest Bóg" (Hbr 3,4). Cały zatem wszechświat wskazuje na Stwórcę jako wybitnego projektanta (Ps 19,2-5). Innymi słowy, przez to wszystko co istnieje możemy dostrzec Bożą moc, mądrość i dostojeństwo, a także troskę o swoje stworzenie, gdyż „Boska jego moc obdarowała nas wszystkim, co jest niezbędne do życia i pobożności..." (2 P 1,3, por. Mt 5,45; Jr 5,24).



Co zatem sądzić o cudach, jakich dokonywał Jezus? Czy były prawdziwe? Cóż, na to pytanie każdy musi odpowiedzieć sobie sam. To bowiem kwestia wiary, na co zwracał uwagę sam Jezus...

Na cokolwiek by więc nie spojrzeć, dostrzec można nieskończoną potęgę Stworzyciela, dla którego „nie ma nic niemożliwego" (Jr 32,17.27). Dlatego też w cudach, jakich dokonywał Jezus z Nazaretu, wierzący widzieli przede wszystkim działającego Boga. Uważali, że potwierdzały też one jego mesjańskie posłannictwo (por. Dz 2,22; Mt 9,8), o czym świadczyć ma również odpowiedź Jezusa na pytanie uczniów Jana Chrzciciela: „Czy Ty jesteś tym, który ma przyjść, czy też mamy oczekiwać innego? A Jezus im odpowiedział: *Idźcie i oznajmijcie Janowi, co słyszycie i widzicie: ślepi odzyskują wzrok i chromi chodzą, trędowaci zostają oczyszczeni i głusi słyszą, umarli są wskrzeszani, a ubogim zwiastowana jest ewangelia*" (Mt 11,3-5).

Zdaniem ewangelistów, cudowna działalność Jezusa miała również wskazywać na duchową obecność Królestwa Bożego (por. Mk 1,14-15; Łk 17,21). Potwierdzeniem tego mają też być słowa Jezusa: „Jeżeli Ja palcem Bożym wypędzam demony, zaiste przyszło już do was Królestwo Boże" (Łk 11,20, por. Mt 12,28).

Co zatem sądzić o cudach, jakich dokonywał Jezus? Czy były prawdziwe? Cóż, na to pytanie każdy musi odpowiedzieć sobie sam. To bowiem kwestia wiary, na co zwracał uwagę sam Jezus, mówiąc raz zarazem: „Wiara twoja uzdrowiła cię" (Mt 9,22, por. Mk 10,52); „Według wiary waszej niechaj się wam stanie" (Mt 9,27); „Wszystko jest możliwe dla wierzącego" (Mk 9,23); „Nie bój się, tylko wierz..." (Łk 9,50).

Zatem można powiedzieć, że wiara czyni cuda. Oczywiście, pewne ewangeliczne opowieści o nich niewątpliwie mają charakter legendarny (np. chodzenie po wodzie). Niewykluczone jest jednak, że wiara naprawdę czyni cuda, nawet jeśli większość naukowców twierdzi, iż są one raczej kwestią psychologii. Że wiara czyni cuda, zdają się bowiem wskazywać również badania (trwały pięć lat) przeprowadzone przez uczonych z Harvard School of Public Health w Bostonie stwierdzające, że osoby wierzące miały np. lepszą pracę płuc, i to nie z powodu większej aktywności ruchowej czy niepalenia papierosów, lecz z uwagi na ich wiarę. Tak więc niewykluczone, że wiara rzeczywiście czyni cuda.

Straż przy grobie

Jeśli chodzi o straże przy grobie Jezusa, o ich wystawieniu mówi jedynie Ewangelia Mateusza. Oto ten fragment: „Nazajutrz, czyli w dzień po święcie Przygotowania, zebrali się u Piłata przedniejsi arcykapłani i faryzeusze, mówiąc: *Panie, przypomnieliśmy sobie, że ten zwodziciel jeszcze za życia powiedział: Po trzech dniach zmartwychwstanę. Rozkaż więc zabezpieczyć grób, aż do trzeciego dnia, żeby czasem uczniowie jego nie przyszli, nie ukradli go i nie powiedzieli ludowi: Powstał z martwych. I będzie ostatnie oszustwo gorsze niż pierwsze. Rzekł im: Macie straż, idźcie zabezpieczcie, jak umiecie.* Poszli więc i zabezpieczyli grób, pieczętując kamień i zaciągając straż" (Mt 27,62-66).

Co do tej relacji istnieją poważne wątpliwości. Jakie? Po pierwsze, nie do pomyślenia jest, aby tuż po święcie Przygotowania, czyli w dzień szabatu, arcykapłani i przedniejsi faryzeusze starali się o audiencję u Piłata. Wiadomo bowiem, jak skrupulatnie faryzeusze przestrzegali szabatu. Jest więc mało prawdopodobne, aby ci, dla których szabat był świętością, pogwałcili czwarte przykazanie Dekalogu (Wj 20,8). Po drugie, Jezus nie miał zastrzeżeń do nauczania faryzeuszy, byli bowiem spadkobiercami „mównicy Mojżeszowej" (Mt 23,2-3), czyli przesłania Tory, które wciąż obowiązuje (por. Mt 5,17). Jego zastrzeżenia mogły dotyczyć wyłącznie ich wyniosłości i ostentacyjności religijnej, i nie dotyczyły też wszystkich faryzeuszy (Talmud rozróżniasiedem ich typów), tylko nielicznych. To z kolei oznacza, że oskarżenia Mateusza pod ich adresem, że na przykład „zamykają Królestwo Niebios" (Mt 23,13), są nie do pogodzenia z wcześniejszą aprobatą Jezusa doktryny, którą głosili faryzeusze. Innymi słowy, fragment, mówiący o straży przy grobie Jezusa, ma charakter antyfaryzejski, jak i wroga krytyka zawarta w większej części 23. rozdziału Ewangelii Mateusza, która pochodzi z okresu wyraźnego już antyjudaizmu i wrogości do narodu żydowskiego. Jest po prostu fikcją.

Bolesław Parma

eprasa.pl b620986762

Skuszenie Chrystusa

Centralny obszar Bliskiego Wschodu obejmujący dzisiejszy Izrael, tereny palestyńskie oraz część Libanu, Syrii i Jordanii jest od wieków nazywany Ziemią Świętą, gdyż właśnie tam miały swój prapoczątek najważniejsze religie świata – judaizm, chrześcijaństwo i islam.

Bogate życie duchowe ludzi zamieszkujących te ziemie spowodowało, że jest tam bardzo dużo budowli sakralnych oraz innych śladów materialnych, związanych z wyznawanymi kultami. Szczególnie znane obiekty są ulokowane w Jerozolimie, ale równie fascynujące można znaleźć w innych miejscach.

Mit kuszenia

Jednym z nich jest niezwykła Świątynia Kuszenia, prawosławny monastyr (klasztor) zbudowany na bardzo stromym zboczu, właściwie urwisku, Góry Kuszenia, znajdującej się na Pustyni Judzkiej, ok. 3 km od miasta Jerycho. Ta osobliwa budowla robi wrażenie zawieszonej na pionowej skale i wzbudza podziw wszystkich odwiedzających to miejsce. Obecny kształt uzyskała w połowie XIX w., ale jej początek stanowiły cele pustelników z IV w., wykute wokół groty, w której, zgodnie z tradycją chrześcijańską, przez 40 dni Jezus Chrystus miał pościć i w której doświadczył dziwnego przeżycia – spotkania z szatanem kusicielem.

Dwaj ewangeliści Mateusz (Mt 4, 1-11) i Łukasz (Łk 4, 1-13) szczegółowo opisali tę sytuację. Okazuje się, że diabeł miał wątpliwości, czy Jezus jest faktycznie Synem Bożym i kilkakrotnie prowokował go, aby to udowodnił. Najpierw chciał się przekonać o jego boskiej mocy i zażądał, by zamienił kamień w chleb, ale Chrystus zbył go powiedzeniem, że nie samym chlebem człowiek żyje. Następnie szatan zaproponował mu, aby rzucił się w przepaść, co miało sprawdzić, czy aniołowie go wówczas uratują. W odpowiedzi usłyszał cytat z biblijnej Księgi Powtórzonego Prawa: „Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego" (Pwt 6,16). Na koniec kusiciel przeprowadził jeszcze jeden test: „wziął Go diabeł na bardzo wysoką górę, pokazał Mu wszystkie królestwa świata oraz ich przepych i rzekł do Niego: *Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon.* Na to odrzekł mu Jezus: *Idź precz, szatanie! Jest bowiem napisane: Panu, Bogu swemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz.* Wtedy opuścił Go diabeł, a oto aniołowie przystąpili i usługiwali Mu" (Mt 4, 8-11).

Temat kuszenia Jezusa pojawił się także w Ewangelii Marka, najstarszej i, mimo różnych słabości, najbardziej wiarygodnej z ksiąg nowotestamentowych. Zawarta w niej informacja jest jednak znacznie krótsza: „Czterdzieści dni przebył na pustyni, kuszony przez szatana. Żył tam wśród zwierząt, aniołowie zaś usługiwali Mu" (Mk 1,13). Jest oczywiste, że Mateusz i Łukasz właśnie ten akapit Marka bardzo twórczo rozwinęli w swych księgach i zamieścili nawet całkowicie zmyślony dialog Chrystusa z kusicielem. Była to często stosowana przez nich praktyka i np. Łukasz zapisał przebieg podobnie urojonej rozmowy Marii, Matki Boskiej, z Archaniołem Gabrielem (Łk 1, 28-38). Po prostu ci ewangeliści bardzo chętnie ubarwiali swe opowieści zarówno takimi dialogami, jak i wieloma innymi baśniowymi opowieściami i legendami.

Mimo to, warto się zastanowić, skąd w Ewangelii Marka znalazł się dosyć absurdalny temat kuszenia Boga (bądź co bądź istoty wszechmocnej), przez strąconego niegdyś do piekieł złego ducha. Wszystko wskazuje, że musiało to być echo jakichś wzmianek Jezusa, iż swego czasu zmierzył się on z jakimiś pokusami. Ustalenie co to było i kiedy miało miejsce, jest możliwe, gdyż ewangelie, chociaż nie mówią o tym wprost, to jednak zawierają bardzo dużo poszlak, pozwalających odtworzyć scenariusz tego wydarzenia.



Kusząca propozycja

Przez wiele lat Jezus z Nazaretu był popularnym kaznodzieją i uzdrowicielem, ale znanym prawie wyłącznie na terenie Galilei. Uzdrowienie przez niego Szymona Faryzeusza Trędowatego, opisane w ewangeliach (Mt 8,1-4. Mk 1,40-45. Ł 5,12-16.) zapoczątkowało wielki przełom w jego życiu. Szymon Faryzeusz, ważny i bogaty mieszkaniec Jerozolimy, prawdopodobnie członek Sanhedrynu, został uznany przez arcykapłanów za trędowatego i wygnany ze stolicy. Wcześniej był on przywódcą wrogiego hierarchom ugrupowania faryzeuszy i to głównie zaważyło na wydanym wyroku. Zamieszkał wówczas w pobliskiej wsi Betania, ale cały czas szukał sposobu zemszczenia się na Kajfaszu i Annaszu. Pomagali mu w tym jego przyjaciele, Józef z Arymatei i Nikodem, również bogaci faryzeusze i członkowie Sanhedrynu.

Po swym uzdrowieniu (zapewne nieuznanym przez arcykapłanów) Szymon postanowił wykorzystać wielki, jak ocenił, potencjał polityczny galilejskiego uzdrowiciela. Zaprosił Jezusa do Betanii i tam, wraz ze wspomnianymi przyjaciółmi, odbyli tajną naradę. Jej ślad można znaleźć w Ewangelii Jana: „Był wśród faryzeuszów pewien człowiek, imieniem Nikodem, dostojnik żydowski. Ten przyszedł do Niego nocą i powiedział Mu: Rabbi, wiemy, że od Boga przyszedłeś jako nauczyciel" (J 3, 1-2). Warto w tym miejscu przypomnieć, że głównym źródłem Ewangelii Jana był Łazarz, syn Szymona Trędowatego, co wyjaśnia, dlaczego właśnie w tej księdze znalazła się wzmianka o nocnym spotkaniu w Betanii. W niej, a nie w żadnej ewangelii synoptycznej – uczniowie Jezusa nic o tej rozmowie i jej konsekwencjach nigdy się nie dowiedzieli.

Podczas narady jerozolimscy politycy przedstawili Jezusowi niezwykłą propozycję. Stwierdzili, że jego moc uzdrawiania jest ewidentnym dowodem, iż „przyszedł od Boga" , a więc jest jego wybrańcem, mesjaszem. Powinien to ogłosić i starać się, by jak najwięcej ludzi w to uwierzyło. Jako mesjasz jest ważniejszy od arcykapłanów i to on, zgodnie z proroctwami, powinien być królem żydowskim. Jeżeli zgromadzi wystarczająco wielu zwolenników i na ich czele przyjdzie do Świątyni Jerozolimskiej, to Kajfasz i Annasz będą musieli paść przed nim na kolana, a on zacznie rządzić całym „królestwem i jego przepychem". Propozycja była zaskakująca i Jezus nie dał od razu odpowiedzi. Przyjęcie roli mesjasza wymagałoby odpowiednich przygotowań, a później wykonania ogromnej pracy, ukierunkowanej na przekonywanie do siebie jak najliczniejszych mieszkańców Izraela. Mogło pojawić się na tej drodze wiele przeszkód i zagrożeń, a finał nie był przesądzony, gdyż trzeba było się liczyć z oporem arcykapłanów. Wiedział więc, że ryzyko jest duże, ale z drugiej strony, wizja objęcia tronu i sprawowania władzy nad Świątynią, Jerozolimą i całym Izraelem była niezmiernie kusząca.

Diabelska polityka

To nie diabeł więc kusił Jezusa, lecz planujący zamach stanu jerozolimscy politycy. Kuszenie nie odbyło się na jakiejś pustyni, lecz w domu Szymona Trędowatego w Betanii, w czasie nocnego spotkania. Jest przy tym możliwe, że gdy Jezus wracał z Judei do Galilei, mógł przechodzić w pobliżu miasta Jerycho i zatrzymać się gdzieś w odludnej okolicy. Potrzebował głębokiego namysłu nad szokującą propozycją i prawdopodobnie poszcząc i modląc się szukał jakiejś podpowiedzi od Jahwe. Taki scenariusz wyjaśniałby zarówno pobyt na pustyni, post, jak i kuszenie wizjami posiadania „królestwa i jego przepychu". Z treści ewangelii wynika jednak, że wtedy jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji. Moment ten nastąpił w dniu, gdy spytał swych uczniów, za kogo ludzie go uważają oraz za kogo oni sami go uważają. Wówczas to Szymon Rybak odpowiedział: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego" (Mt 16, 13-17). Właśnie ta scena przekonała Jezusa, że ogłoszenie się mesjaszem ma całkiem realne podstawy i wielu, bardzo wielu ludzi w to uwierzy. Dodatkowo „surowo zabronił uczniom, aby nikomu nie mówili, że On jest Mesjaszem" (Mt 16, 20), gdyż najpierw chciał przekazać Szymonowi Trędowatemu, że przyjmuje jego propozycję.

I stało się, że diabeł, pod postacią jerozolimskich polityków, przeprowadził swój perfidny plan – Jezus dał się skusić.

Sławomir Sadowski

eprasa.pl b620986762

Ściana biedy na zamó

Podlasie znalazło się na przedostatnim miejscu w Unii Europejskiej pod względem codziennego korzystania z internetu.

Natychmiast po ukazaniu się tej informacji okazało się, że ściana wschodnia Polski pozostaje cywilizacyjnym skansenem. Tyle że w tym samym czasie Lubelszczyzna osiągnęła najwyższy w kraju nominalny wzrost PKB, Podlasie zwiększyło dochody mieszkańców i znalazło się w czołówce samorządowych inwestycji, a wschodnie województwa zaczęły szybciej zmniejszać dystans do bogatszej części kraju. Wszystkie te informacje są prawdziwe. Zależy tylko, które z nich uzna się za warte opublikowania.

Rachunek nędzy

Z polską ścianą wschodnią jest pewien kłopot. Od lat wiadomo, że powinna być biedna, zacofana, zapomniana przez inwestorów i cywilizacyjnie opóźniona. Taki obraz utrwalił się w publicystyce, politycznych wystąpieniach i niezliczonych analizach regionalnych dysproporcji. Podlasie ma być krainą bocianów, mleczarni i niekończących się pól, Lubelszczyzna rolniczym zapleczem kraju, a Podkarpacie obszarem, który mimo przemysłowych tradycji nie potrafi dogonić bogatszego Zachodu. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie statystycy, którzy od pewnego czasu dostarczają danych niezupełnie pasujących do tego obrazu.

Według wstępnych szacunków za 2024 r., nominalny produkt krajowy brutto (PKB) na mieszkańca wzrósł w porównaniu z poprzednim rokiem we wszystkich regionach Polski, ale najszybciej właśnie na Lubelszczyźnie, gdzie zwiększył się o 10,4 proc. Na Śląsku wzrost wyniósł 4,4 proc. Nie znaczy to oczywiście, że Lubelszczyzna nagle stała się bogatsza od Śląska. Nadal dzieli je znaczna różnica poziomu produkcji w przeliczeniu na mieszkańca. Znaczy jednak, że region znajdujący się na końcu krajowych zestawień nie musi być jednocześnie regionem gospodarczego bezruchu. Przeciwnie, może nadrabiać zaległości szybciej niż obszary od dawna uważane za rozwinięte.

Owszem, mówimy o wzroście nominalnym, na który wpływa inflacja. Nie należy więc przedstawiać go jako identycznego wzrostu rzeczywistej produkcji. Tyle że to samo dotyczy wszystkich województw. Jeśli zatem porównuje się dynamikę nominalnego PKB Lubelszczyzny i Śląska, to nie można uznać pierwszej za statystyczne złudzenie, a drugiej za dowód gospodarczego rozwoju. Albo traktujemy dane konsekwentnie, albo wykorzystujemy je wyłącznie wtedy, gdy pasują do wcześniej przyjętej tezy.

Według danych przytoczonych przez „Rzeczpospolitą", podlaski PKB wyrażony w dolarach wyniósł w 2024 r. 20,1 mld, czyli więcej niż produkt krajowy brutto liczącego ponad 21 mln mieszkańców afrykańskiego Czadu, którego gospodarka była warta 19,9 mld dolarów. Województwo lubuskie, z PKB wynoszącym 18,6 mld dolarów, przegoniło Mołdawię, a opolskie, z wynikiem 17,4 mld dolarów, Macedonię Północną. I w ten sposób okazało się, że nawet gospodarczy słabeusze znad Wisły są potęgami w porównaniu z całymi państwami.

Oczywiście, porównywanie Podlasia z Czadem ma mniej więcej taki sens, jak dowodzenie zamożności polskiego emeryta na podstawie tego, że ma więcej pieniędzy niż przeciętny mieszkaniec Burundi – ale efektownie wygląda w gazecie.

Bogactwo, którego nie widać z Warszawy

Najciekawsze informacje o Podlasiu można znaleźć nie w materiałach promocyjnych przedsiębiorców, lecz w oficjalnym raporcie o stanie województwa za 2025 r. Dokument liczy 164 strony i zawiera dane, które trudno pogodzić z jednostronnym obrazem gospodarczo bezradnej prowincji. W 2024 r. PKB na mieszkańca Podlasia wynosił 75 601 zł, co odpowiadało 77,7 proc. średniej krajowej. W porównaniu do 2019 r. wzrósł o 66,4 proc., czyli o 30,2 tys. zł. Jeszcze w 2015 r. podlaski PKB na mieszkańca, liczony według parytetu siły nabywczej, stanowił 51 proc. średniej unijnej. W 2024 r. było to już 61 proc. Dziesięć punktów procentowych w dziewięć lat. Nie jest to wprawdzie tempo pozwalające jutro dogonić Bawarię, ale trudno też przedstawiać je jako dowód gospodarczego zastoju.

Jeszcze ciekawsze są dane dotyczące przemysłu. W latach 2019-2024 wartość produkcji sprzedanej wyrobów na Podlasiu zwiększyła się o 61,1 proc., czyli o 15,5 mld zł, osiągając 41 mld zł. W przeliczeniu na mieszkańca było to 36 177 zł, podczas gdy w 2019 r. zaledwie 21 584 zł. Nie można zatem twierdzić, że gospodarka regionu opiera się wyłącznie na publicznych dotacjach i rosnących wynagrodzeniach urzędników. Za częścią wzrostu stoi rzeczywista działalność produkcyjna, choć podane kwoty są wartościami nominalnymi. Podlasie ma rozwinięte przetwórstwo rolno-spożywcze, a także przedsiębiorstwa budowlane, producentów maszyn i wyrobów metalowych. Nie wszystkie należą do sektorów kojarzonych z najnowocześniejszymi technologiami, ale trudno uznać je za gospodarczy folklor.

Warto przy tym przyjrzeć się przedsiębiorczości, którą nie zawsze widać w zestawieniach największych korporacji. W 2024 r. udział przedsiębiorstw przemysłowych aktywnych innowacyjnie wynosił na Podlasiu 32,6 proc., wobec 32,8 proc. w całej Polsce. Region osiągał zatem wynik niemal identyczny ze średnią krajową. Co więcej, w porównaniu z 2017 r., gdy wskaźnik wynosił 18,2 proc., zwiększył się o 14,4 punktu procentowego. Podlasie zajmowało pod tym względem siódme miejsce w kraju. A więc w województwie, przedstawianym jako cywilizacyjnie opóźnione, udział innowacyjnych przedsiębiorstw przemysłowych był niemal taki sam jak przeciętnie w Polsce.

Jeszcze bardziej zaskakujące są dane dotyczące współpracy przedsiębiorstw. W 2024 r. aż 22 proc. aktywnych innowacyjnie podlaskich firm przemysłowych, zatrudniających od 10 do 249 osób, uczestniczyło w inicjatywach klastrowych lub innych sformalizowanych formach współpracy. Średnia krajowa wynosiła 10,3 proc. Podlasie osiągnęło więc wynik ponaddwukrotnie lepszy od przeciętnego i zajęło pierwsze miejsce wśród województw. Trudno zatem utrzymywać, że miejscowi przedsiębiorcy nie potrafią współpracować, organizować się i wykorzystywać nowoczesnych form rozwoju działalności. Co więcej, te wyniki nie pochodzą z deklaracji polityków, lecz z danych GUS wykorzystanych w samorządowym raporcie.

Nie wszystko, oczywiście, wygląda równie dobrze. Udział przychodów ze sprzedaży produktów wysokiej i średniowysokiej techniki w podlaskim przetwórstwie przemysłowym wynosił w 2024 r. zaledwie 7 proc., a nakłady na badania i rozwój odpowiadały 0,62 proc. regionalnego PKB wobec 1,41 proc. w całej Polsce. To poważne słabości, których nie można przemilczeć. Jednak czym innym jest stwierdzenie, że region powinien zwiększać udział zaawansowanych technologii, a czym innym przedstawianie go jako gospodarczego skansenu. Zwłaszcza gdy niemal co trzecie przedsiębiorstwo przemysłowe należy do grupy firm innowacyjnych, a współpraca klastrowa rozwija się tam znacznie lepiej niż przeciętnie w kraju.

Internet, który jednak działa

Szczególnie pouczająca jest historia podlaskiego internetu. Według danych Eurostatu, w 2025 r. codziennie korzystało z niego 77,3 proc. mieszkańców województwa w wieku od 16 do 74 lat, podczas gdy średnia unijna wynosiła 89,5 proc. Podlasie znalazło się na przedostatnim miejscu w całej Unii. Wystarczy zatem ten jeden wskaźnik, żeby napisać artykuł o cyfrowym zacofaniu polskiej prowincji. I formalnie wszystko będzie się zgadzało. Tyle że już niekoniecznie prawdziwy będzie stworzony na jego podstawie obraz całego regionu.



eprasa.pl b620986762

ówienie

Z opublikowanego w 2026 r. raportu wojewódzkiego wynika bowiem, że w 2024 r. 99,2 proc. podlaskich przedsiębiorstw miało szerokopasmowy dostęp do internetu. Jednocześnie odsetek firm wykorzystujących sieci komputerowe do obsługi zamówień online wzrósł w ostatnich latach niemal dwukrotnie, osiągając 19,5 proc. Można więc znaleźć na Podlasiu zarówno mieszkańców, którzy nie korzystają z internetu codziennie, jak i przedsiębiorstwa, które coraz szerzej wykorzystują go do prowadzenia działalności gospodarczej. Obie informacje są prawdziwe, ale opisują zupełnie inne zjawiska. Pierwsza dotyczy zachowań mieszkańców, druga infrastruktury i cyfryzacji przedsiębiorstw. Uczynienie z jednej miary dowodu ogólnego zacofania całego województwa jest zatem daleko idącym uproszczeniem.

Co więcej, nawet w danych o codziennym korzystaniu z internetu widać postęp. W 2024 r. wskaźnik wynosił 73,6 proc., a rok później już 77,3 proc. Wzrósł zatem o 3,7 punktu procentowego, podczas gdy średnia unijna zwiększyła się z 88,3 do 89,5 proc., czyli o 1,2 punktu. Podlasie nadal znajduje się na końcu europejskiego zestawienia, ale zmniejsza dystans do średniej unijnej. Gdyby więc zamiast pozycji w rankingu pokazać tempo poprawy, powstałaby zupełnie inna opowieść. Nie o regionie, który nie potrafi się rozwijać, lecz o takim, który szybko nadrabia zaległości.

Inwestycyjny rekord

Jeszcze trudniej pogodzić obraz gospodarczej bezradności Podlasia z danymi dotyczącymi samorządowych inwestycji. W 2024 r. wydatki inwestycyjne jednostek samorządu terytorialnego w przeliczeniu na mieszkańca wynosiły w województwie około 3 214 zł. Był to najwyższy wynik w Polsce. Region, który rzekomo nie potrafi się rozwijać, znalazł się więc na pierwszym miejscu



w kraju pod względem intensywności samorządowego inwestowania. Co więcej, wydatki te rosły nieprzerwanie od 2021 r., a w porównaniu z bazowym rokiem 2018, zwiększyły się o 57,1 proc.

Oczywiście, wydawanie pieniędzy nie jest jeszcze dowodem skuteczności inwestycji. Ale trudno również utrzymywać, że region pozostaje zapomniany przez cywilizację, skoro jego samorządy przeznaczają na inwestycje w przeliczeniu na mieszkańca więcej niż samorządy wszystkich pozostałych województw.

Zmienia się również dostępność transportowa Polski Wschodniej. Według informacji Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad z maja br., kierowcy korzystali już z blisko 350 km polskiej części Via Carpatii. Tylko w 2025 r. na Podkarpaciu udostępniono ponad 20 km drogi S19 między Krosnem, Miejscem Piastowym i Duklą, a na Podlasiu kolejne 21 km między Hańckami, Bielskiem Podlaskim i Boćkami. W kwietniu 2026 r. GDDKiA informowała, że wszystkich sześć odcinków Via Carpatii od granicy województw mazowieckiego i lubelskiego do Lublina, o łącznej długości około 100 km, znajduje się już w realizacji. To nie są inwestycje istniejące wyłącznie w samorządowych sprawozdaniach. To infrastruktura, która stopniowo zmienia położenie gospodarcze całego makroregionu.

Warto przy tym pamiętać, że Polska Wschodnia przez dziesięciolecia była gorzej skomunikowana od zachodniej części kraju. Nowe drogi nie sprawiają więc, że natychmiast osiąga poziom Śląska czy Wielkopolski. Jednak przedstawianie jej wyłącznie przez pryzmat dawnych zaniedbań, bez uwzględnienia skali realizowanych inwestycji, prowadzi do obrazu równie jednostronnego jak bezkrytyczne zachwyty nad każdym nowym kilometrem ekspresówki.

Nie tylko dotacje

Jest jeszcze kwestia dochodów mieszkańców. W 2024 r. przeciętny miesięczny dochód „rozporządzalny” na jedną osobę w podlaskim gospodarstwie domowym wynosił 2 958,05 zł. W całej Polsce było to 2 912,06 zł. Podlasie osiągnęło więc wynik o około 46 zł wyższy od średniej krajowej. Tymczasem w 2019 r. podlaski wskaźnik wynosił 1 538,71 zł, wobec 1 619,39 zł przeciętnie w Polsce. W ciągu pięciu lat region nie tylko odrobił różnicę, ale nawet nieznacznie przekroczył średnią.

I tutaj pojawia się szczególnie interesujący paradoks. Województwo, którego PKB na mieszkańca stanowi zaledwie 77,7 proc. średniej krajowej, osiąga jednocześnie przeciętny dochód na osobę nieco wyższy od średniej w Polsce. Nie ma w tym sprzeczności, ponieważ PKB i dochód rozporządzalny gospodarstw domowych mierzą różne zjawiska. Pokazuje to jednak, jak mylące może być utożsamianie niskiego PKB na mieszkańca z równie niską zamożnością mieszkańców. Gdyby ktoś chciał przedstawić Podlasie jako obszar szczególnej biedy, z pewnością chętniej sięgnąłby po pierwszy wskaźnik. Gdyby chciał pokazać poprawę sytuacji materialnej ludności, posłużyłby się drugim.

Na tym nie koniec, bo Podlasie ma również osiągnięcia w dziedzinach, które trudno uznać za gospodarczo przestarzałe. W 2024 r. aż 78,6 proc. produkowanej w województwie energii elektrycznej pochodziło z OZE. Region należał pod tym względem do krajowej czołówki. Zajmował również czwarte miejsce w Polsce pod względem udziału certyfikowanych ekologicznych użytków rolnych, wynoszącego 6,2 proc., a na jego obszarze znajdowało się 21,5 proc. wszystkich gospodarstw ekologicznych w kraju. W gospodarowaniu odpadami innymi niż komunalne osiągał 92,5 proc. odzysku, co dawało mu trzecią pozycję w Polsce.

Zacofanie do wyboru

Nie znaczy to, że Polska Wschodnia przestała być biedniejsza od zachodniej części kraju. W 2024 r. PKB na mieszkańca Lubelszczyzny stanowił 70,6 proc. średniej krajowej, Podlasia 77,7 proc., a regionu warszawskiego stołecznego ponad 200 proc. Różnice pozostają więc ogromne. Wschodnie województwa nadal zmagają się z depopulacją, słabszą atrakcyjnością inwestycyjną i niedostatecznymi nakładami na badania i rozwój. Jednak czymś innym jest wskazywanie tych problemów, a innym utrwalanie obrazu regionu, w którym właściwie nic się nie zmienia.

Szczególnie że gospodarcze nadrabianie zaległości nie jest zasługą jednego rządu ani jednej partii. Wiele inwestycji realizowanych obecnie przygotowywano przez lata, finansowano z kolejnych „perspektyw unijnych” i prowadzono pod rządami różnych ekip. Próba przypisania wszystkich sukcesów wyłącznie PiS byłaby więc równie nieuprawniona, jak przedstawianie wszystkich problemów Polski Wschodniej jako skutku rządów tej partii.

Pozostaje natomiast pytanie o sposób, w jaki media wybierają informacje. Jeśli za najważniejszą wiadomość o Podlasiu uznaje się przedostatnie miejsce w europejskim rankingu codziennego korzystania z internetu, a pomija pierwsze miejsce w Polsce pod względem samorządowych wydatków inwestycyjnych na mieszkańca, ponadprzeciętną współpracę klastrową przedsiębiorstw i szybki wzrost dochodów gospodarstw domowych, to odbiorca otrzymuje obraz prawdziwy tylko częściowo. Podobnie byłoby, gdyby publikować wyłącznie informacje o rekordowych inwestycjach, przemilczając niski udział zaawansowanych technologii i problemy demograficzne.

Nie da się na tej podstawie dowieść, że media sprzyjające obecnej władzy świadomie prowadzą kampanię przeciwko Polsce Wschodniej. Można jednak zasadnie pytać, czy utrwalony obraz polityczny regionu nie wpływa na to, które dane trafiają do nagłówków, a które pozostają ukryte w statystycznych tabelach. Bo Podlasie, Lubelszczyzna czy Podkarpacie nie są ani gospodarczym rajem, ani cywilizacyjnym skansenem. Są regionami, które nadal mają wiele do nadrobienia, ale w niektórych dziedzinach robią to szybciej od reszty kraju.

I być może właśnie z tym jest największy problem. Przez lata Polska Wschodnia była wygodnym symbolem polskiego zacofania. Można było pokazywać biedę, tłumaczyć ją historią, geografią albo politycznymi wyborami mieszkańców. Znacznie trudniej przychodzi zauważyć, że ta sama Polska Wschodnia potrafi osiągać najwyższe w kraju tempo wzrostu gospodarczego, rekordowe wydatki inwestycyjne i wyniki przedsiębiorstw, których mogłyby jej pozazdrościć bogatsze województwa. Bo kiedy Podlasie wypada przedostatnio w Europie, łatwo zrobić z tego wiadomość o zacofaniu. Kiedy okazuje się pierwsze w Polsce pod względem samorządowego inwestowania, trzeba już wyjaśniać, że same pieniądze nie świadczą o rozwoju.

Oba zastrzeżenia mogą być słuszne. Rzecz w tym, żeby stosować je z jednakową gorliwością. Inaczej okaże się, że największym problemem Polski Wschodniej nie jest wcale to, że nie potrafi dogonić reszty kraju, lecz to, że nawet kiedy ją dogania, nie bardzo pasuje to do gęby, którą od lat się jej przyprawia.

Stefan Płonicki

eprasa.pl b620986762

Wieści z Albionu

Wielka hipokryzja Wielkiej Brytanii

Brytyjska polityka dostarcza ostatnio tematów, których nie powstydziłby się niejeden satyryk.

Zieloni zajmują się syjonizmem, rady szariackie funkcjonują równolegle z państwowym wymiarem sprawiedliwości, a rząd zamierza surowiej karać rodziców za problemy, do których powstania sam się przyczynił.

„Brunatni" Zieloni

Brytyjscy Zieloni postanowili rozszerzyć zainteresowania. Klimat i ochrona przyrody najwyraźniej już im nie wystarczają. Na październikowej konferencji w Brighton, partia przegłosowała uchwałę uznającą syjonizm za rasizm i oficjalnie ogłosiła się ugrupowaniem antysyjonistycznym.

Za było 1 022 członków, przeciw 813. Uchwała opowiada się również za jednym demokratycznym państwem palestyńskim na obszarze historycznej Palestyny, ze stolicą w Jerozolimie. Przeciwko jej przyjęciu wystąpiło czterech z pięciu posłów Zielonych.

Liderem partii jest Zack Polanski, urodzony w Salford jako David Paulden. Wychował się w żydowskiej, syjonistycznej rodzinie i uczęszczał do żydowskiej szkoły. Jego przodkowie przybyli do Wielkiej Brytanii z Europy Wschodniej. Rodzina zmieniła nazwisko na Paulden, chcąc uniknąć antysemityzmu. On sam, mając 18 lat, przyjął nazwisko Polanski, by wrócić do rodzinnych korzeni. Dziś określa się jako antysyjonista. W sprawie uchwały nie głosował, bo prowadził własną kampanię w wyborach uzupełniających do Izby Gmin. Mandatu jednak nie zdobył.

Polanski wyjaśniał później, że zgadza się z istotą uchwały, jeżeli przez syjonizm rozumiemy ideologię uzasadniającą wysiedlanie Palestyńczyków. Przyznał jednak, że dla wielu Żydów syjonizm oznacza bezpieczeństwo, tożsamość i poczucie przynależności. Stwierdził również, że sam zagłosowałby przeciw ostatecznej wersji uchwały. Zieloni odrzucili bowiem dwie popierane przez niego poprawki: jedną przeciw narzucaniu rozwiązania jednopaństwowego, drugą mającą chronić żydowskich członków partii przed sankcjami za przynależność do synagog i organizacji określających się jako syjonistyczne.

Partia deklarująca walkę z dyskryminacją odrzuciła zapis chroniący swoich żydowskich członków. A jej przewodniczący tłumaczy, że formacja polityczna nie powinna mówić ludziom, w co mają wierzyć. Zieleń ma wiele odcieni. Ten zaczyna niebezpiecznie wpadać w brunatny.

Vivien Lichtenstein, przewodnicząca Jewish Greens, grupy zrzeszającej żydowskich członków partii, rozważała nawet opuszczenie ugrupowania, z którym związana jest od 29 lat. Poszła zresztą „za ciosem" – 9 października publicznie wezwała Polanskiego do ustąpienia ze stanowiska lidera. Od uchwały zdystansowali się również europejscy Zieloni.

Ekolodzy chcieli walczyć z dyskryminacją. Teraz muszą przekonywać część własnych żydowskich działaczy, że wciąż mają w tej partii miejsce. Klimat może poczekać. W tej chwili najbardziej zagrożonym „gatunkiem" wydaje się partyjna zgoda.

Szariat po brytyjsku

Wielka Brytania, oprócz sądów, parlamentu i wielowiekowej tradycji prawnej, ma również islamskie rady szariackie. Zajmują się religijnymi małżeństwami i rozwodami, prowadzą mediacje, doradzają rodzinom. Formalnie nie są częścią wymiaru sprawiedliwości. Szariat nie ma w Wielkiej Brytanii odrębnej jurysdykcji, a decyzje rad nie zastępują wyroków państwowych sądów. Tyle teoria.



Praktyka rządzi się swoimi prawami. Wyobraźmy sobie kobietę, która w Anglii zawarła wyłącznie religijny ślub islamski, bez wymaganych prawem formalności. Dla państwa nie jest mężatką i nie może dochodzić uprawnień finansowych przysługujących jej na przykład przy rozwodzie. Jednak dla własnej społeczności nadal jest żoną. Aby zakończyć małżeństwo religijnie, potrzebuje odpowiedniego rozwodu. Może oczywiście odmówić uznania decyzji rady szariackiej. Tylko co z tego, jeśli rodzina i otoczenie uznają właśnie tę decyzję?

We wrześniu 2025 r. Women's Policy Centre ostrzegało przed nierównym traktowaniem kobiet, presją środowiskową i nieformalnym równoległym porządkiem rozstrzygania sporów. Wskazywało również na zagrożenia dla kobiet doświadczających przemocy i przymusu w rodzinie. A ile takich rad szariackich działa? W marcu 2026 r. Ministerstwo Sprawiedliwości przyznało w parlamencie, że nie ma tych danych. I nie zamierza ich zbierać.

Religijne normy próbuje się zresztą przenosić nie tylko do spraw rodzinnych. W listopadzie 2025 r. powstała petycja przeciwko lokalowi, w którym postanowiono sprzedawać alkohol. Dlaczego? Bo podobno alkohol nie pasuje do wartości przeważającej w tej okolicy ludności muzułmańskiej. To jeszcze nie było najgorsze, bo mówimy tylko o petycji. Wcześniej bywało mniej uprzejmie. W 2013 r. radykalni islamiści żądali zaprzestania sprzedaży alkoholu na londyńskiej Brick Lane, a samozwańczy „Muslim Patrol" napastował przechodniów za picie, ubiór czy trzymanie się za ręce. Trzech jego członków trafiło do więzienia.

Nie oznacza to, że każda rada szariacka działa nieuczciwie, a poczynania ekstremistów reprezentują wszystkich muzułmanów. Pytanie jest inne: gdzie kończy się swoboda praktykowania własnej religii, a rozpoczyna próba narzucania jej zasad innym? Władze zapewniają, że wszyscy podlegają temu samemu prawu. Tyle że formalna równość niewiele pomaga kobiecie poddanej presji własnej społeczności. A państwo, które nie wie nawet, ile w nim rad szariackich funkcjonuje, może co najwyżej zapewniać, że wszystko ma pod kontrolą.

Musisz, ale ci nie wolno

Brytyjski rząd znalazł kolejny sposób na przestępczość nieletnich: chce mocniej karać rodziców.

Jednym z impulsów była tragedia w Southport; w lipcu 2024 r. 17-letni Axel Rudakubana zamordował tam trzy dziewczynki. Dochodzenie ujawniło wieloletnie zaniedbania policji, służb socjalnych i innych instytucji. Ale także poważne błędy opiekunów sprawcy. Rodzice szukali pomocy już w 2019 r., kiedy ich syn miał zaledwie 12 lat. Wielokrotnie wzywali policję. Instytucje wiedziały, że chłopak jest niebezpieczny, ale nie potrafiły nad nim zapanować. Rodzice z czasem stracili do nich zaufanie i przestali z nimi współpracować. Popełnili też tragiczne w skutkach błędy. Wiedzieli o gromadzonej przez syna broni, ale nie ostrzegli policji.

W odpowiedzi rząd zapowiedział wzmocnienie Parenting Orders – sądowych nakazów zobowiązujących rodziców do współpracy przy korygowaniu zachowania dzieci. We wrześniu minister Jake Richards mówił o grzywnach, ograniczaniu świadczeń, a w skrajnych przypadkach nawet więzieniu za niewykonywanie nakazów. Przepisy te wprowadzono jeszcze za rządów Tony'ego Blaira w 1998 r. Mogą dotyczyć różnych sytuacji – od uporczywych wagarów po poważną przestępczość nieletnich. Z czasem niemal wyszły z użycia. W roku 2009/10 wydano na ich podstawie ponad tysiąc decyzji nakazowych, a w roku 2022/23 zaledwie 33. Obecny rząd postanowił więc odkurzyć pomysł sprzed blisko trzydziestu lat. Tym razem z surowszymi sankcjami.

Dochodzenie w sprawie Southport wykazało, że instytucje latami przerzucały się odpowiedzialnością. Rząd przyjął zalecenia pokontrolne. Urzędnikom szykują się więc reformy, nowe procedury i szkolenia. Rodzicom – kary, z więzieniem włącznie.

Przez lata rosły uprawnienia szkół, urzędów i służb społecznych do ingerowania w wychowanie. Dziś dziecko ma swoje prawa, szkoła procedury, urzędnik uprawnienia, a rodzic – odpowiedzialność. Czy „w razie czegoś" zrobił wystarczająco dużo, ocenią instytucje tego samego państwa, którego zaniedbania ujawniło dochodzenie.

Sądowy nakaz nie sprawi jednak, że nastolatek nagle zacznie słuchać ojca czy matki. Ale zawsze można ich ukarać. Rodzicu: nic ci nie wolno, ale... odpowiadasz za wszystko.

Daniel Młynarski, Londyn

eprasa.pl b620986762

Zlikwidujmy Trybunał Konstytucyjny!

Druga wojna o Trybunał

Wbrew pozorom Trybunał Konstytucyjny nie jest już potrzebny ani demokratycznej koalicji, ani obozowi narodowo-populistycznej prawicy. Ani Polsce.



Co więcej, jego istnienie jest dla Rzeczypospolitej – jako demokratycznego państwa prawnego – śmiertelnym zagrożeniem. Jarosław Kaczyński czynem dowiódł, że jeśli jakiś jego naśladowca (nie daj Boże, bardziej skuteczny) będzie chciał przekształcić nasz ustrój w autokrację, z łatwością zrobi to rękoma zaledwie ośmiu posłusznych mu ludzi. Oczywiście, musi do tego zdobyć większość w Sejmie i mieć wpływ na decyzje prezydenta RP. Jeśli z taką konstelacją polityczną zbiegłyby się końcówki kadencji wcześniej wybranych sędziów sądu konstytucyjnego, ów jedynowładca bez przeszkód wybierze sobie większość członków TK oraz jego prezesa. I faktycznie w ten sposób unieważni ustawę zasadniczą, uchwaloną przez Zgromadzenie Narodowe większością 451 na 497 obecnych posłów i senatorów, a następnie zatwierdzoną przez ogólnokrajowe referendum głosami 6,4 miliona wyborców. Nawet jeśli przyszły autokrata takiego komfortu mieć nie będzie, da sobie radę. Z natury rzeczy prawo ma, jak to się mówi, w głębokim poważaniu, więc po prostu nieprzychylny mu Trybunał rozpędzi. Szybciej niż to udało się Kaczyńskiemu z posłem, a teraz sędzią TK Stanisławem Piotrowiczem oraz eksprezydentem Andrzejem Dudą.

To nie tylko teoretyczne rozważania. Najbliższym na horyzoncie kandydatem na autorytarnego przywódcę jest obecna głowa państwa Karol Nawrocki. Zapowiedział przecież, że chce doprowadzić do uchwalenia nowej ustawy zasadniczej w 2030 r., by swoją drugą kadencję rozpocząć już w nowych warunkach – przypominających bardziej sanację z lat trzydziestych XX w. niż demokratyczną republikę. To się nie uda, większości do zmiany (bądź zamiany) konstytucji nie będzie ani w parlamencie, ani w narodzie. Jeśli to szczera intencja, pozostanie mu więc droga na skróty.

Bitwa o tron

W tych okolicznościach zaczęła się druga wojna o Trybunał Konstytucyjny. Pierwszą wszczął jedenaście lat temu, w 2015 r., Kaczyński ze wspomnianymi dwoma pomocnikami, a także ze Zbigniewem Ziobrą, Krystyną Pawłowicz i całym jego wówczas potężnym Prawem i Sprawiedliwością. Jak pamiętamy, zaczęła się od *Blitzkriegu*, unieważnienia wyboru pięciu sędziów (w tym trzech prawidłowo wybranych) przez Sejm jeszcze niepisowski, nocnego przyjęcia ślubowania od nominatów nowej władzy, wielkich spontanicznych zgromadzeń w Alei Szucha i na ul. Wiejskiej zwołanych przez Komitet Obrony Demokracji (KOD), lekceważonych opinii Komisji Weneckiej, niepublikowania przez Beatę Szydło orzeczeń TK.

Po tym nastąpiła stabilizacja na wzór I wojny światowej, przerywana dziewięcioma nowelizacjami ustawy o Trybunale (bądź uchwalaniem nowych ustaw). Stary Trybunał pod tym naporem w końcu padł.

Wznowienie walk

Kaczyński miał pełny spokój na tym froncie. Mógł uchwalać każdą, nawet w jaskrawy sposób sprzeczną z Konstytucją, ustawę, był bowiem pewien, że Julia Przyłębska, jego odkrycie towarzyskie i kulinarne, żadnej krzywdy mu nie zrobi. *Notabene*, jak to w autorytaryzmie bywa, zdemontował sobie przy okazji hamulec bezpieczeństwa, zapobiegający szkodliwej legislacji i głupim rozwiązaniom. Odbiło mu się to czkawką: czarne protesty z 2020 r. przeciw orzeczeniu o niezgodności z konstytucją jednej z przesłanek legalnej aborcji (decyzja w tej sprawie zapadła przy ulicy Nowogrodzkiej, co przyznał niedawno były premier Mateusz Morawiecki) osłabiły poparcie dla PiS i znacząco przyczyniły się do odsunięcia narodowych populistów od władzy. Paradoksem jest jednak, że w rocznicę tamtych wydarzeń kobiety znów musiały wyjść na ulice, by przypomnieć o swoich wciąż niezrealizowanych postulatach.

Po przejęciu Trybunału ten ważny konstytucyjny organ zamarł. Z rzadka wnioski kierował do niego wyłącznie prawicowy rząd lub prezydent Duda, gdy chcieli uzyskać listek figowy dla kontrowersyjnych posunięć. Dobrym przykładem są orzeczenia TK Julii Przyłębskiej, wyłączające Polskę ze wspólnoty prawnej Unii Europejskiej. Gdyby ktoś potraktował je poważnie, dziś już bylibyśmy poza UE (stając się jeszcze bardziej łakomym kąskiem dla Władimira Putina). W szczególności głowę Trybunałowi przestali zawracać obywatele, świadomi tego, że żaden wyrok nie zapadnie wbrew interesowi władzy, a poza tym, że nie będzie on miał żadnego znaczenia prawnego. Po wyborach w 2023 r. Trybunał zaczął być ignorowany przez rząd Donalda Tuska – na podstawie specjalnej uchwały Sejmu. Kierował nim już Bogdan Święczkowski, najbardziej zaufany podwładny Ziobry, szef ABW z czarnych czasów polowań na przedstawicieli środowisk lewicowo-liberalnych (*vide* śmierć Barbary Blidy), były prokurator krajowy, czyli pierwszy zastępca generalnego. W międzyczasie utrwaliła się zasada rozproszonej kontroli konstytucyjności prawa przez sądy powszechne, więc obywatele na braku TK cierpieli tylko w pewnym stopniu.

W zeszłym tygodniu wybuchła druga wojna o Trybunał. Tym razem stroną napierającą są demokraci. Po wyborze na sędziego Macieja Berka większość (8 na 15, a faktycznie nawet na 14, bo jednym z pisowskich członków TK jest Jarosław Wyrembak, tzw. dubler) stanowią prawnicy wybrani podczas obecnej kadencji Sejmu. To znane postaci o niekwestionowanej wiedzy prawniczej i uznanym autorytecie. Grupa wokół Święczkowskiego jest podzielona, przynajmniej jeden z nominatów Sejmu poprzedniej kadencji nie ma ochoty firmować swoim nazwiskiem moralnego upadku Trybunału.

O co ta cała awantura?

Raczej prędzej niż później dojdzie do odbycia Zgromadzenia Ogólnego sędziów TK, które uchyli immunitet Święczkowskiemu, ściganemu w kilku już prokuratorskich postępowaniach. Nowego prezesa nie da się jednak wybrać, jeśli przynajmniej pięciu „starych" do końca będzie trzymać się razem – bo zgodnie z jedną z uchwalonych przez PiS ustaw, prezydentowi przedkłada się wszystkich kandydatów, którzy w głosowaniu w tej sprawie uzyskają minimum pięć wskazań. Nawrocki zawsze wybierze jednego ze „swoich". Chyba że z jakichś powodów do aresztu trafiłby nie tylko obecny prezes, ale i jego zastępca (Bartłomiej Sochański – były członek Prawa i Sprawiedliwości, kandydat z ramienia tej partii na prezydenta Szczecina i jej radny w tym mieście). Zgromadzenie zwołałaby wówczas najstarsza sędziowskim stażem Anna Korwin-Piotrowska i zapewne nie dopuściłaby do udziału w nim Wyrembaka.

Intencje w tym sporze są jasne. Były minister sprawiedliwości Adam Bodnar przygotował nową ustawę o TK, zgodnie z którą sędziowie byliby wybierani większością ⅗ poselskich głosów. Wymagałoby to uzgodnienia przez rządzących i opozycję takich jurystów, którzy byliby naprawdę niezależni i cieszący się powszechnym zaufaniem. Niestety, Duda do spółki z obecnym skompromitowanym Trybunałem uchwaloną już ustawę wyrzucili do kosza. W tej sytuacji Tusk zapowiedział, że nie będzie „ciotuleńką" i przy użyciu wszystkich dostępnych środków odbuduje prawdziwy sąd konstytucyjny.

Jeśli nawet mu się to uda, a wybory za rok wygra obóz narodowo-prawicowy, to i tak nie będzie to miało znaczenia. Choć z punktu widzenia interesu demokracji z dwojga złego lepszy jest wariant istnienia dwóch konkurujących Trybunałów – obecnego, z dziewiątką sędziów demokratycznych (jeszcze jeden zostanie wybrany w styczniu przyszłego roku) oraz tego, jaki sami sobie stworzą Nawrocki z Kaczyńskim, Morawieckim, Mentzenem, Bosakiem i Braunem – niż pozwolenie na trwanie w kadłubowej, przetrwalnikowej postaci grupy Święczkowskiego, Piotrowicza *et consortes* do wyborów, po których skład zostałby przez prawicowy Sejm uzupełniony z obecnych 10 do konstytucyjnych 15.

Najlepiej jednak byłoby – gdy tylko uda się zbudować demokratyczną większość do zmiany konstytucji – w ogóle wykreślić z niej Trybunał, a kontrolę zgodności z nią ustaw powierzyć sądom powszechnym.

Jakub Jabłoński

eprasa.pl b620986762



Przeklęte dni

Zdjęcie przedstawia ruiny słynnego Teatru Bolszoj w Moskwie. Nie, to nie efekt ukraińskiego ataku dronów. To skutek niemieckich bombardowań w październiku 1941 r., 85 lat temu.

Data, której „poprawni” kremlowscy historycy nie lubią pamiętać, była przed nami ukrywana przez długi czas. W październiku 1941 r. los Moskwy wisiał na włosku. Wojska niemieckie okrążyły osiem z 15 oddziałów armii radzieckiej w pobliżu Wiaźmy i Briańska. Pięć kolejnych poniosło ogromne straty i zostało rozgromionych. Poddało się 648 196 radzieckich żołnierzy i oficerów. Ta liczba również była przez wiele dziesięcioleci utrzymywana w tajemnicy.

Na krawędzi

Po zdobyciu Kalinina (dziś Twer), Borowska, Wieriei i Możajska luka w obronie Moskwy sięgała 500 km. Po prostu nie było nikogo, kto mógłby ją „załatać”. Niemcy byli przekonani, że droga do Moskwy stoi otworem.

Żołnierzy Wehrmachtu można było dostrzec przez lornetki z obrzeży stolicy. Desant niemieckich sabotażystów przedostał się w rejon Wzgórz Worobiowych (4 km od Placu Czerwonego). Zostali zlikwidowani przez moskiewski pułk milicji (NKWD), ale pogłoski o tym, że „Hitler był pod murami Kremla, a Stalin uciekł”, wywołały w Moskwie panikę. Stalin nie uciekł, choć to planował. Generał armii Gieorgij Żukow – mówiąc wprost – namówił „wodza wszystkich narodów” do pozostania w Moskwie.

Żukow dowodził obroną Moskwy. Do czasu przybycia dywizji syberyjskiej i uralskiej, stolicę ZSRR bronili kadeci akademii wojskowej, dzielni obywatele, którzy pozostali w mieście oraz oddziały NKWD. Mieszkańcy miasta sprowadzali nawet niewidomych krewnych do kopania okopów. Październik 1941 r. zapisał się w historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej (II wojny światowej) jako „mroczne dni moskiewskiej paniki”. Metro było nieczynne i zaminowane. Ładunki podłożono również w setkach moskiewskich fabryk, instytutów, pompatycznych, zamieszkiwanych przez „elity partyjne” kamienic, w teatrach, kinach, a nawet kościołach. Panika, która ogarnęła władze, niczym wirus rozprzestrzeniła się na ludzi. Działań mających na celu ewakuację i zniszczenie miasta nie dało się dłużej ukrywać. Już 8 października, po katastrofie w Wiaźmie, Stalin oświadczył, że „Moskwa nie ma nikogo i niczego do obrony, powtarzam, nikogo i niczego”. Hitler również tak uważał, zlecając budowę pomnika zwycięzcom w centrum pokonanej i zniszczonej Moskwy z granitu ze Szwecji, Norwegii i Finlandii. Ten granit nadal pokrywa ściany kilku budynków przy ulicy Twerskiej (wówczas Gorkiego).

Moskwa przygotowywała się do wojny partyzanckiej. Utworzono organizację podziemną i składy broni. Czekiści wyszkolili grupę performerów-sabotażystów, powiązanych z elitą niemieckiej bohemy artystycznej, aby obrzucili Hitlera granatami, podczas planowanego „koncertu zwycięstwa”.

Brać łupy!

Z Moskwy ewakuowano wszystkie ministerstwa, pozostawiając niewielkie grupy operacyjne. Komitet Wykonawczy Kominternu, placówki zagraniczne i rząd ZSRR przeniosły się do Kujbyszewa (dzisiejsza Samara). Eksponaty z Galerii Trietiakowskiej wysłano do Nowosybirska. Ciało Lenina przewieziono z mauzoleum do Tiumenia, a cały zespół specjalistów pilnował bezpieczeństwa mumii. Nawet komendant Kremla opuścił Moskwę. Rozkaz Komitetu Obrony Państwa, podpisany przez Stalina, nakazywał:

„W razie pojawienia się wojsk wroga u bram Moskwy, NKWD ma otrzymać rozkaz wysadzenia w powietrze fabryk, magazynów i instytucji, których nie można ewakuować, a także całego sprzętu elektrycznego w metrze (z wyłączeniem wodociągów i kanalizacji)”.

Moskwa była przygotowywana do kapitulacji. Władze miejskie zniknęły. Zapanował chaos, panika i grabieże. Mieszkańcy rabowali sklepy i magazyny z żywnością.

Wielcy i mali urzędnicy uciekali z Moskwy samochodami wyładowanymi dywanami, drogimi meblami, naczyniami i sobolowymi futrami. „Karawany pasożytów” (jak popularnie nazywano partyjną nomenklaturę) zostały zaatakowane przez rozwścieczonych mieszkańców przedmieść Moskwy i okolicznych wsi. Panikę, nastroje antyradzieckie i antysemickie podsycali rosyjskojęzyczni sabotażyści z Pułku Brandenburskiego, którzy zinfiltrowali Moskwę. Nisko przelatujące niemieckie samoloty zrzucały ulotki wzywające do niestawiania oporu. Nad Moskwą wirował popiół – w urzędach państwowych palono dokumenty.

Kobiety z podmiejskich wiosek pędziły bydło centralną ulicą Gorkiego. Za stadem krów snuły się konie, ciągnące wozy z sianem. Za nimi zmęczeni uchodźcy, głównie kobiety i dzieci, dźwigający na ramionach swój skromny dobytek.

Oto wpis z dziennika naukowca Władimira Wiernadskiego: „Nastąpiła gwałtowna zmiana w nastrojach wobec wojny. Słabość dowódców naszej armii staje się coraz bardziej oczywista dla wszystkich. Musimy realistycznie liczyć się z możliwością zdobycia i całkowitego zniszczenia Moskwy. Możliwe jest zniszczenie całego mojego archiwum i biblioteki”. A to świadectwo radzieckiego pisarza i dziennikarza Lwa Larskiego. „W korkach na Zastawie Iljicza widziałem zagraniczne limuzyny z klaksonami w kremlowskim stylu. To byli uciekający partyjni dostojnicy! Po markach samochodów od razu wiedziałem, kim byli. Najwyżsi rangą urzędnicy uciekali zagranicznymi limuzynami. Niżsi rangą urzędnicy jechali naszymi Emkami. Jeszcze niżsi rangą w starych gazikach. Najniżsi jechali autobusami, karetkami, furgonetkami z napisami *Mięso*, *Chleb* i *Moskiewskie Kotlety*, ciężarówkami, a nawet wozami strażackimi... A szeregowi członkowie partii szli pieszo po chodnikach, poboczach dróg i torach tramwajowych, ciągnąc walizki, tobołki i siatki, prowadząc bezpartyjnych swoim przykładem (...)”.

Patriotyzm w radzieckim stylu

Dokładny obraz „radzieckiego patriotyzmu” i „lojalności wobec towarzysza Stalina” w październiku 1941 r. znajduje się również w odtajnionych dokumentach, w tym raportach NKWD. Przytoczę jeden z najbardziej „zachowawczych”. „16 października grupa ładowaczy i kierowców wyruszyła, aby zabrać majątek z ewakuowanej Fabryki nr 230; wyłamała zamki w magazynach i ukradła alkohol. Grabież została powstrzymana przez personel operacyjny. Jednak rankiem 17 października ta sama grupa, dowodzona przez dyspozytora bazy, wraz z tłumem ludzi, którzy do nich dołączyli, ponownie rozpoczęła grabież magazynu. W napadzie brali udział zastępca dyrektora fabryki Pietrow i przewodniczący komitetu lokalnego. Sekretarz komitetu partyjnego fabryki i przedstawiciel powiatowego komitetu partyjnego zostali pobici, próbując zapobiec grabieży magazynu”. Wielu triumfowało: „Nie uciekniemy. Zostaniemy. Niech Żydzi i komuniści uciekają, a my co?! Życie nie będzie gorsze”.

W zbiorze „Czekiści w obronie Moskwy” wśród odtajnionych dokumentów znajduje się raport o nastrojach panujących w mieście. „Według raportów wywiadowczych zdarzały się nie tylko przypadki rozpowszechniania defetystycznych plotek, ale także przygotowywania się do zbliżającego się uroczystego powitania niemieckich najeźdźców. Na przykład zamawiano odświętne garnitury i suknie, układano fryzury itd.”.

Mieszkający w Moskwie od 1934 r. Markus Wolf, przyszły założyciel legendarnego wywiadu zagranicznego NRD, pisał o tamtych dniach: „To było dla mnie dziwne i przerażające, że w połowie października 1941 r., gdy Niemcy zbliżali się do Moskwy, spotkałem w mieście Rosjan, którzy dowiedziawszy się, że jestem Niemcem, z radością oznajmili mi, że Wehrmacht wkrótce zajmie Moskwę. To wstrząsnęło mną do głębi”.

W Moskwie względny porządek został przywrócony dopiero na początku listopada. Milicja otrzymała rozkaz „rozstrzeliwania na miejscu rabusiów, maruderów, grabieżców, dezerterów, podżegaczy, siewców paniki i niemieckich agitatorów”. Bez procesu, bez śledztwa.

Jakiekolwiek historyczne paralele z dniem dzisiejszym nie mają uzasadnienia, ale (nie daj Boże!) gdyby coś podobnego wydarzyło się obecnie, nie jestem pewien, czy czarny październik 1941 r. nie powtórzy się.

Anton Arbatow, Moskwa

przekład Marta Hofman

eprasa.pl b620986762



Wielka zdrada

Polityka amerykańska epoki Trumpa – wewnętrzna i zagraniczna – przypomina pijacką burdę w barze.

Erupcje furii i nienawiści, bezsensowne pyskówki, odwet, chaos. Ktoś usiłuje mitygować, lecz nikt go nie słucha. Nie wiadomo, o co chodzi i do czego to zmierza. W wypadku barowej burdy interweniuje i przywraca porządek policja. W Trumpoameryce nie można na to liczyć.

Najnowszym aktem draki, który wzbudził szok, pogardę i strach na świecie, stało się odwrócenie przez Trumpa o 180 stopni kluczowego wektora polityki USA. Od dekad Rosja i jej protoplasta ZSRR byli przez Amerykę postrzegani – niezależnie od proweniencji prezydenta i partii u władzy – jako wróg lub co najmniej przeciwnik. Zerwał z tym podziwiający Putina Trump, oferując Rosji pomoc finansową. Zarzuca Ukrainie, ofierze jej napaści, spowodowanie – razem z Bidenem – deficytu paliw, owocującego niemal podwojeniem ich cen od marca. Według Trumpa, kontrataki Ukrainy na rafinerie są „hańbą"; dla rosyjskich bombardowań infrastruktury energetycznej nie ma słowa potępienia. 18 października oświadczył, że „ukraińskie ataki poważnie szkodzą USA. Zełenskiego to nie obchodzi". Tego samego dnia w publicystycznym programie TV NBC prezydent Ukrainy powiedział: „Byłoby historycznym błędem i wielką tragedią, gdyby USA wzięły stronę Rosji".

Odwrócenie wektora pojmowania świata przez Amerykanów (Ameryka dobra, Rosja zła) obrodziło rokoszem dyspozycyjnych dotąd towarzyszy partyjnych Trumpa. Grupa prawodawców z obu partii podpisała wspólne oświadczenie: „Stany Zjednoczone nie powinny rzucać Putinowi koła ratunkowego w formie korzyści finansowych w czasie, gdy kontynuuje on zabijanie cywilów w Ukrainie. Interes z Rosją miałby zabójcze konsekwencje". Bunt szybko się rozprzestrzenił. Śmiałość niektórych polityków republikańskich, zaskakująca po latach totalnej uległości, to nie dowód, że niespodzianie odrósł im kręgosłup moralny. Uświadomili sobie, że poczynania Trumpa rujnują ich szanse na reelekcję. „Łagodzenie sankcji przeciw Rosji to więcej niż nieodpowiedzialność" – konstatuje republikański senator Thom Tillis.

Gwóźdź do trumny?

Amerykanie są wściekli na astronomiczne ceny paliw oraz innych towarów, na rosnącą inflację. Pomoc finansowa Trumpa dla darzonego przez nich awersją Putina może być gwoździem do trumny republikanów w listopadowych wyborach. Trump nie jest już możnowładcą na prawicy; według nowych sondaży, potępienie jego rządów jest niemal dwa razy wyższe od poparcia. Eksperci, komentatorzy oraz politycy (także republikańscy) stwierdzają, że Trump złamał prawo. Oprócz pogwałcenia zatwierdzonej kilka tygodni temu ustawy o nowych sankcjach na Rosję, autorstwa republikańskiego senatora Grahama, Trump sprzeniewierzył się ustawie obowiązującej od 2022 r. Zakazuje ona importu paliw z Rosji. By zgodnie z prawem kupić od Putina diesla, Trump musiałby zawiadomić Kongres 45 dni wcześniej, przedstawiając dowody, że Rosja zakończyła wojnę i wycofała siły z okupowanych terenów. Po kolejnych 90 dniach parlament mógłby wyrazić zgodę na transakcję.

Eksperci podkreślają, że nowy prorosyjski wyskok Trumpa jest nonsensem także w kategoriach praktycznych. Patrick De Haan, szef analityków z ośrodka monitorującego ceny paliw GasBuddy, mówi: „Jestem bardzo sceptyczny, czy Rosja posiada w ogóle takie ilości paliwa, jakie Trump chce importować. Z drugiej strony, 300 tys. ton to półtoradniowa produkcja USA". Noblista ekonomista Paul Krugman dodaje, że 300 tys. ton pokrywa zapotrzebowanie USA na diesla przez pół dnia. Podkreśla jednak, że zakup będzie znaczącym zastrzykiem finansowym (4 mld dol. – przyp. J.Z.) dla robiącej bokami Rosji.

Ekspert z dziedziny bezpieczeństwa David Rothkopf wskazuje, że Trump zamierza pomóc Rosji, wspierającej Iran, z którym USA toczą wojnę. „On wspomaga wroga, by pomagał innemu naszemu wrogowi. Postępowanie Trumpa jest z pewnością zdradzieckie". W podobnym tonie wypowiedział się były kongresmen republikański Joe Walsh: „Trump zdradził wolny świat". Były wiceprezydent u boku Trumpa, Mike Pence stwierdził, że jego eksboss „zdradził spuściznę Lindseya Grahama". Demokratyczny senator Mark Kelly pyta retorycznie: „Z kim trzyma Trump?". Pytanie gubernatora Kalifornii Gavina Newsoma brzmi: „Ile Putin zapłacił? Komu?".

Były generał lotnictwa, republikański kongresmen Don Bacon, odniósł się do wstrzymania przez Trumpa transferu danych wywiadowczych do Ukrainy i wyłączenia systemu satelitarnego Starshield, ostrzegającego przed rosyjskimi rakietami balistycznymi: „To decyzja równoznaczna z pomocą dla agresora i zbrodniarza wojennego, który bombarduje miasta". Po fali potępienia podwładni Trumpa początkowo twierdzili, że Starshield nie działał „z powodu złej pogody"; zapewnili, że będzie funkcjonował. Trump wykręca się infantylnie, że „to nie on nakazał wyłączenie systemu i nie wie, kto mógł to zrobić".

Ekspert bezpieczeństwa Miles Taylor zwrócił uwagę na znamienny fakt: w roku 2019 Trump został postawiony w stan oskarżenia przez Izbę Reprezentantów za to, że usiłował szantażować Zełenskiego. Domagał się od niego wszczęcia śledztwa przeciw Joe Bidenowi i jego synowi Hunterowi, rzekomo zamieszanemu w ukraińską aferę korupcyjną. Przed rozmową Trump-Zełenski Biały Dom zablokował 400 mln dol. pomocy amerykańskiej dla Ukrainy. „7 lat później Trump robi dokładnie to samo, tylko na znacznie poważniejszą skalę" – konkluduje Taylor.

Po kilku dniach krytyki kryminalny lider USA jął się – swoim zwyczajem – z obietnicy zakupu rosyjskiego diesla mętnie wycofywać: „Nikt mi nie powiedział, że Rosja może użyć tych funduszy na dalsze atakowanie Ukrainy". Dziennikarzom oznajmił: „Wielu z was nie wie, jaka jest moja decyzja, ale my powiemy i się dowiecie". Grupa kongresmenów obu partii wezwała Trumpa do „natychmiastowej zmiany kursu o 180 stopni".

Na pastwę losu

Dla NATO i Polski najważniejszy jest jednak brutalny wniosek: na pomocy Ameryki nie wolno polegać. Gen. Grynkewich ładnie mówił w Warszawie o niezłomnej solidarności paktu, lecz to nie on wydaje polityczne rozkazy; on ma je wykonywać. Komentatorzy i biznesmeni w USA zwrócili uwagę, iż Trump w ogóle nie zareagował na rosyjskie ataki na biznesy amerykańskie w Ukrainie: wytwórnie Coca-Coli, Pepsico, Oreo oraz jadłodajnie McDonald's. Andy Hunder, prezes Amerykańskiej Izby Handlowej w Ukrainie, mówi: „Wysłaliśmy do Białego Domu wiadomość, że Rosja bierze na cel amerykańskie firmy. Nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi".

Stany Zjednoczone mają długą historię zdradzania swych sojuszników. Wycofując się z Wietnamu, Amerykanie pozostawili na pastwę wkraczających partyzantów Vietcongu swych południowowietnamskich sojuszników – urzędników i żołnierzy. Pozostawili także 25-40 tys. dzieci „Amerasians", poczętych przez Amerykanów z Wietnamkami. Sojusznicy wojenni USA byli potem zsyłani do „reedukacyjnych" obozów koncentracyjnych lub – jeśli zdążyli uciec do Laosu lub przez morze gdzie indziej (tzw. *boat people*) – tkwili latami w obozach przesiedleńczych. Część z nich udało się wreszcie ściągnąć do USA, gdy byli dowódcy amerykańscy, z którymi Wietnamczycy współdziałali, zrobili kariery polityczne i podjęli energiczne działania.

„Amerykanie trzykrotnie korzystali z pomocy militarnej Kurdów, a potem pozostawili sojuszników na pastwę losu" – pisze w książce „Wielka Zdrada" prof. David Phillips z Uniwersytetu Columbia.

Ewakuując się pospiesznie z Afganistanu w sierpniu 2021 r., Amerykanie pozostawili – według danych Departamentu Stanu – 152 tys. afgańskich sojuszników, którzy przez 20 lat wojny współpracowali z nimi, ryzykując życie. W 2021 r. tylko 3 proc. z nich zostało ewakuowanych wraz z amerykańskimi żołnierzami. Pozostałym obiecano specjalne wizy imigracyjne SIV. Dziś wciąż na nie czekają, ukrywając się przed rządzącym talibanem na terenie Afganistanu lub Pakistanu, wegetując w obozach w Katarze. W 2025 r. Trump wstrzymał przyznawanie im wiz uchodźczych. Ostatnio anulował status uchodźczy drobiazgowo prześwietlonych Afgańczyków, których wcześniej wpuszczono do USA.

Obecnie jedynymi uchodźcami, którym Trump zezwala na imigrację do Ameryki, są biali rasistowscy Afrykanerzy z RPA.

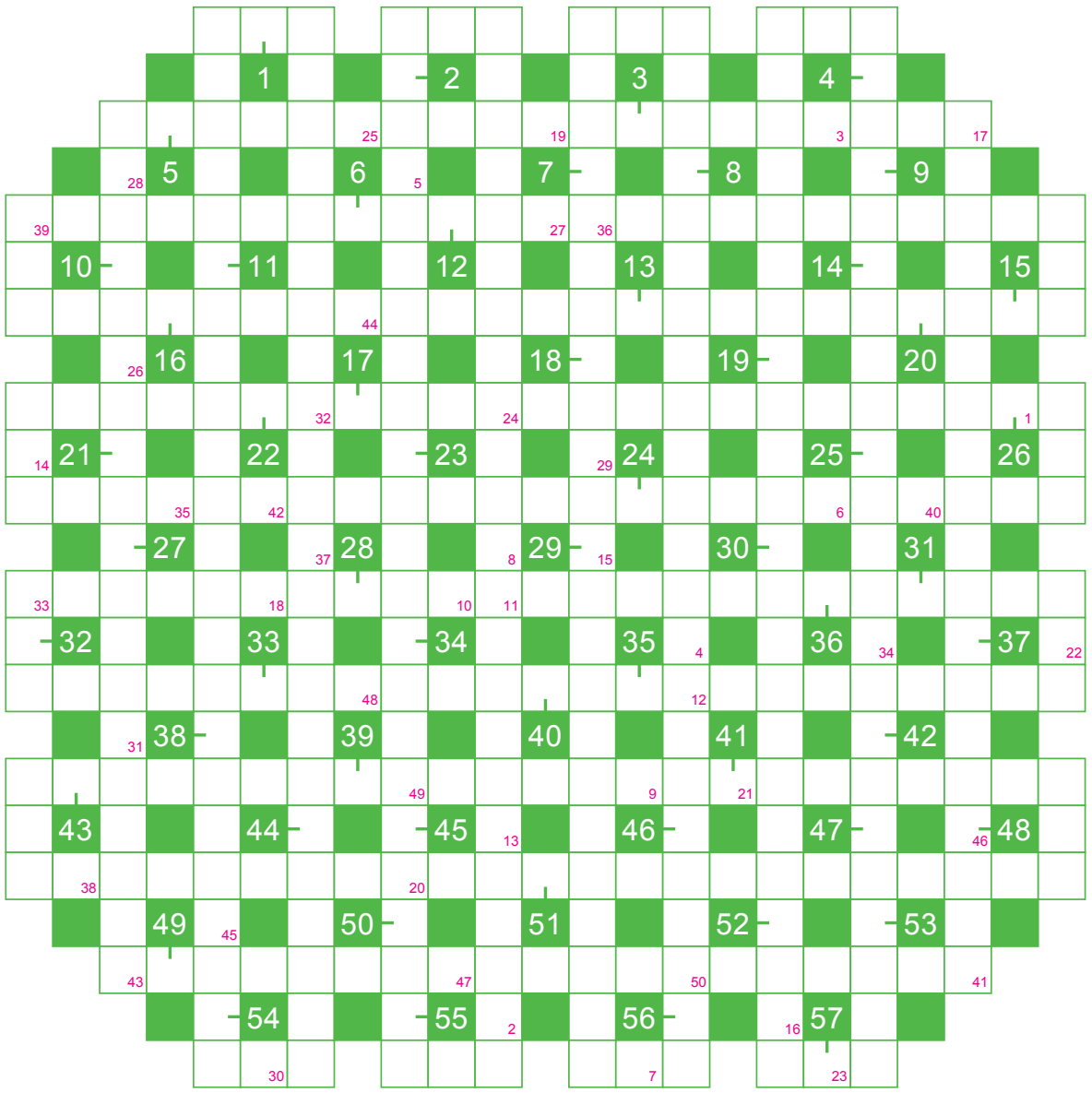
Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl b620986762

WIRÓWKA

Pierwszą literę odgadniętego hasła wpisujemy do zaznaczonego pola, a następnie prawoskrętnie. Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą rozwiązanie.

1) naczynie z podziałką do cieczy, 2) wraca po rzuceniu, 3) naklejka lub zasady zachowania, 4) zabieg oczyszczający jelito, 5) rozstrzyganie sporu poza sądem, 6) łączy silnik ze skrzynią biegów, 7) prawnik jeszcze w nauce, 8) kwaśna łodyga na kompot, 9) biały sos z masła i mleka, 10) ryzykuje zamiast aktora, 11) ciemna plamka na skórze, 12) pradziadek kalkulatora, 13) dolna ozdobna część ściany, 14) stopień w drabinie lub hierarchii, 15) chory z napadami duszności, 16) sznur do ćwiczeń i zabawy, 17) budynek ma je z boku, 18) kraj rodzinny bliski sercu, 19) wpuszcza szmaty, 20) spina kartki, 21) piszące beztalencie, 22) dom dla studentów, 23) suszone winogrona, 24) twierdzenie przyjmowane bez dowodu, 25) tło wydarzeń w filmie, 26) miękkie skórzane obuwie, 27) reklamowa zachęta, 28) dolna część damskiego stroju, 29) tył auta na walizki, 30) drobne organizmy unoszone przez wodę, 31) roślina na musztardę, 32) chroni dłoń boksera, 33) migdałowa masa na słodycze, 34) płynie z wiosłem w ręku, 35) książka pełna wskazówek, 36) jednoślad z silnikiem, 37) pachnący dym przy ołtarzu, 38) kwaśne czerwone jagody, 39) wojskowa załoga miasta, 40) kraj fiordów, 41) teoria sprawdzana w działaniu, 42) woda spadająca z wysokości, 43) niewielki las, 44) objętość budynku, 45) krótka opowieść z puentą, 46) broń z obrotowym bębenkiem, 47) zielony kamień szlachetny, 48) patrzenie na świat przez różowe okulary, 49) placówka dyplomatyczna za granicą, 50) zgromadzenie duchownych przy katedrze, 51) miejsce startu i lądowania samolotów, 52) bieg z przekazywaną pałeczką, 53) mistrz nad mistrzami, 54) policyjne auto na sygnale, 55) samochód czekający na pasażera, 56) kwaśny napój po produkcji masła, 57) drewniany kufer lub paka.



Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM" na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach", ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM" imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 41/2026:
„OD RAZU WIEDZIAŁEM, ŻE TO OSZUSTWO".
Nagrody otrzymują: Janina Pyra ze Stalowej Woli, Zdzisław Kulczyk z Lubska, Roman Winnicki z Jasienia.

Córka mówi do ojca po powrocie ze szkoły:
– Tato, zaoszczędziłam Ci sporo pieniędzy!
– W jaki sposób?

– 1 2 3 4 5 6 7, 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25
26 27 28 29 30 31 32 33, 34 35 36 37 38 39 40 41 42 43 44 45 46 47 48 49 50.

Świat oszalał



Trump toczy wojnę z Iranem, która doprowadziła do wzrostu cen paliw na świecie. Putin pomaga Iranowi w wojnie z USA. Trump łagodzi sankcje dla Rosji na dostawę diesla, dzięki czemu Putin nie tylko będzie mógł prowadzić dalszą morderczą wojnę z Ukrainą, ale także za amerykańską kasę pomagać Iranowi w wojnie z USA. Jakby tego było mało, Trump za skutki swoich działań obwinia Ukrainę i Zełenskiego. Twierdzi, że wszystko przez to, iż w samoobronie Ukraińcy atakują i niszczą rosyjskie rafinerie oraz obiekty energetyczne, i że do tej pory nie poddali się Putinowi. Czy ktoś coś z tego rozumie? Moim zdaniem, Trump jest bardziej niestabilny niż nasz Antoni Macierewicz. Szkopuł w tym, że Macierewicz tylko biega po Warszawie z pistoletem na farbę, a Trump trzyma palec na spuście broni, która może zmienić losy świata...

Józef F., Głogów

Niedoceniona koalicja

Nie ulega wątpliwości, że każdy rząd popełnia mniejsze lub większe błędy. Dotyczy to również koalicji 15 października, której z pewnością można to i owo zarzucić. Mimo to jestem przekonany, że ogólny bilans prawie trzech lat jej działalności jest zdecydowanie korzystny, tym bardziej, że obecna władza działa w warunkach totalnie zdemolowanego przez poprzedników systemu państwowego. Problem polega na tym, że zaledwie ok. 30 proc. Polaków pozytywnie ocenia działalność rządu, nad czym koalicja nie może przejść do porządku dziennego. Doszedłem więc do wniosku, że do pewnego stopnia jest to wina samej koalicji, która zbyt słabo nagłaśnia swoje sukcesy odnoszone w ekstremalnie trudnych warunkach. Z moich obserwacji wynika, że przedstawiciele rządu zbyt małą wagę przywiązują do uświadamiania społeczeństwu skali zniszczenia systemu państwowego oraz powszechnego rozkradania majątku narodowego przez poprzedników. Bez przesady można stwierdzić, że PiS było w okresie swych rządów zorganizowaną grupą przestępczą. Moim zdaniem, kluczowa rola w informowaniu społeczeństwa i demaskowaniu tych patologii należy do rzecznika rządu, który powinien bez przerwy informować o kolejnych przekrętach PiS, bez względu na to czy jest już akt oskarżenia, czy też nie. Poświęcone tym kwestiom konferencje prasowe cieszyłyby się ogromnym zainteresowaniem Polaków, którzy są spragnieni wiedzy, kto i jak ich okradał. Jest to istotne, bo obecnie w przekazie medialnym dominują tematy, których znaczna część społeczeństwa tak naprawdę nie rozumie (SAFE, Trybunał Konstytucyjny, kryptowaluty itd.), co umożliwia prawicy robienie ludziom wody z mózgu. Rzecznik prasowy rządu powinien więc do przestrzeni publicznej wprowadzić tematykę zrozumiałą dla społeczeństwa, a niewygodną dla PiS. Jestem przekonany, że gdyby został nim dobry fachowiec, a jednocześnie charyzmatyczny antypisowiec, to w krótkim czasie notowania rządu uległyby znaczącej poprawie.

Adam Z.

eprasa.pl b620986762



Ser powstaje w bacówce, zgodnie z tradycyjnymi metodami. To powolny proces, bo wszystko musi być robione ręcznie.

Dorota Gepert „Luksus z Podhala” [w:] „Newsweek Polska Food &Living”

Z miłości do serów

Jest piękne październikowe popołudnie. Siedzę sobie pod lipą obok delikatesów pani Sylwii, pijemy pyszną kawę, a ja delektuję się serami i zastanawiam, jak opisać ich smak, bo do tego chyba jednak potrzebny byłby co najmniej wieszcz… Zwłaszcza że na desce przede mną leży: bundz, redykołek w kilku odmianach, korbacz, bryndza, oscypek, a do tego w miseczce znakomite żurawiny. Parafrazując więc Fredrę, mogę wyznać: I to pachnie, i to nęci. Od którego teraz zacząć, aby sobie podjeść smacznie? Trudny wybór, trudna zgoda. Podjeść bryndzę, bundza szkoda…

I chciałoby się to jakoś w sobie zmieścić. A potem po takim obżarstwie trzeba jeszcze będzie wejść na górę do sanatorium…

Prawdziwy smak Beskidu Śląskiego

Pani Sylwia, moja serowa przewodniczka, zakochała się w nich jakiś czas temu. Kuchnia od wczesnego dzieciństwa była dla niej nie tylko jedzeniem, ale i miejscem spotkań z rodziną i bliskimi, sercem domu, tradycją przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Jakiś czas temu podczas wędrówki po górach zachwyciła się tutejszymi serami, ich smakiem, tradycyjnym sposobem wytwarzania i historią regionu. Wtedy uświadomiła sobie, że za każdym serem stoją przecież ludzie – lokalni gospodarze, ich praca połączona z prawdziwą pasją… i przywiązanie do rodzinnych receptur, przekazywanych z dziada pradziada. I że to właśnie dzięki nim poznaje się prawdziwy smak Beskidu Śląskiego. Przekonała się, że dobre jedzenie łączy, a regionalne smaki pozwalają delektować się chwilą i poczuć wyjątkową magię tego regionu. I dlatego postanowiła zadbać o to, by sery, które u niej można kupić, były wyjątkowej jakości. Zwłaszcza że każdy z nich ma swoją historię i powstawał z miłością i troską o tradycję.

A zatem posłuchajcie, jakie sery się tu jada.

Uwaga na podróbki

Zacznijmy od tego, że świat się zmniejszył. Niemal wszędzie dostaniemy bez problemu produkty z różnych jego stron. Niemal. Bo w przypadku niektórych z nich, a zwłaszcza serów sezonowych, ściśle związanych z miejscem ich powstania, możemy trafić na takie, które z oryginałem, poza kształtem i podrabianą nazwą, niewiele mają wspólnego. I choć ich forma bywa zbliżona, zwłaszcza charakterystyczne dekoracyjne wzory, to mają inną teksturę, krótszy czas dojrzewania, są łagodniejsze. Czasem nawet dobrze naśladują te z mleka owczego, ale najczęściej są tylko wędzonymi serami z mleka krowiego. Oczywiście, mogą być smaczną przekąską, ale… W przeciwieństwie do oryginalnych lokalnych wyrobów, mogą zawierać szereg konserwantów i ulepszaczy, a to już nie to samo.

Oscypek to najbardziej znany ser i pewnie dlatego tak często bywa podrabiany. Ma unijną Chronioną Nazwę Pochodzenia. Wyrabia się go ręcznie w bacówkach od maja do września, więc jeśli ktoś po tym terminie będzie Wam wmawiał, że sprzedaje oscypki, to mu nie wierzcie. Choć zdarza się jeszcze szansa na ich kupno w październiku.

Oscypek powinien zawierać minimum 60 proc. mleka owczego, mieć klasyczny wrzecionowaty kształt i jedyne w swoim rodzaju zdobienia. Mleko krowie, jeśli w ogóle jest użyte do jego produkcji, ma prawo pochodzić tylko od krów rasy polska czerwona. W środku jest kremowy lub lekko żółtawy, dość twardy, sprężysty, bardziej słony. Ma charakterystyczny wrzecionowaty kształt, a wzory na nim powinny być wyraźne i wypukłe, pochodzące z tradycyjnej, drewnianej, ręcznie robionej formy.

„Ser od bacy”, „ser Janosika”, „ser spod Giewontu”, „scypek”, „uscypek”, „a’la oscypek” mają tyle wspólnego z oryginałem, ile ja z baletnicą moskiewskiego Teatru Bolszoj.

Gołka przez laików bywa często mylona z oscypkiem, ale jest od niego łagodniejsza i mniej słona. Biała, delikatna, sprężysta, miękka, kruszy się i powstaje z mleka krowiego.

Redykołkę, inaczej serek gazdowski, robi się z pozostałości masy po robieniu oscypków. Według legendy, kiedyś gazda zbyt przegotował mleko, szkoda mu było je wylać, więc zrobił z niego ser, który, jak się okazało, znalazł amatorów, bo przyjemnie skrzypi między zębami.

Korbacze przypominają charakterystyczne warkoczyki. Robi się je z mleka krowiego, wyciągając w długie nitki i zaplatając w warkocze. Rozdziela się na serowe włókna. Mogą być białe i wędzone. Bywają typową zakąską na góralskich weselach.

Bundz, łagodny, tłusty, miękki ser z mleka owczego lub mieszanki mleka owczego i krowiego, ma smak lekko orzechowy, maślany, odrobinę kwaskowaty, a kształtem przypomina bochenek. Powstaje jako pierwszy etap produkcji oscypka. Za najsmaczniejszy uważa się bundz majowy, z wypasu do Świętego Jana. Późniejsze bundze zwykle są dosmaczane; wytwarza się je na przykład z dodatkiem kaparów, czarnuszki, czosnku niedźwiedziego. Teksturą i smakiem przypomina troszkę mozzarellę. Smak sera bundz jest łagodny. W zależności od pory roku może się nieco różnić, ale zawsze cechuje się delikatnością i jest lekko kwaskowaty. Do produkcji bundzu używa się świeżo przecedzonego, jeszcze ciepłego mleka.

Bryndzę robi się z solonego, mielonego bundzu. Prawdziwa powstaje wyłącznie od maja do września, ponieważ w tym czasie owce dają mleko, które jest wykorzystywane do produkcji sera. Jest miękka, dobrze smarowna i pikantna, o intensywnym smaku.

Warto wiedzieć, że nasza bryndza ma także certyfikat w Unii Europejskiej jako produkt o chronionej nazwie pochodzenia, ale musi być zrobiona z mleka polskiej owcy górskiej. W produkcji dopuszczalny jest dodatek mleka od krów rasy polska czerwona, jego zawartość nie może być większa niż 40 proc., a taka bryndza jest łagodniejsza w smaku. Wytwarza się ją nie tylko w Polsce, ale i w Rumunii, Austrii, Czechach, Ukrainie, Rosji, na Słowacji.

Warto wiedzieć, że z tych wszystkich serów bez szkody dla smaku i konsystencji zamrażać można tylko bryndzę. A jeśli tak, to warto mieć zapas w mniejszych pojemnikach i co jakiś czas ugotować sobie z niej zupę.

Zupa bryndzowa

Zupa bryndzowa to przykład prostej, sycącej kuchni góralskiej, która doskonale pasuje do tradycji Ustronia i Beskidu Śląskiego. Najważniejszym jej składnikiem jest, oczywiście, bryndza, nadająca zupie charakterystyczny smak i kremową konsystencję.

Obierzcie i pokrójcie w kosteczkę 500 g ziemniaków, marchewkę, pietruszkę i kawałek selera, włóżcie do wrzącego 1-1,5 l wody lub bulionu. Gotujcie około 20 minut, aż warzywa będą miękkie. Pokrójcie w kostkę cebulę i zeszklijcie na 1-2 łyżkach masła i dodajcie do zupy. 150-200 g bryndzy rozkruszcie w miseczce i wymieszajcie z kilkoma łyżkami gorącej zupy, aby łatwiej się rozprowadziła, wlejcie do garnka, mieszając. Gotujcie na małym ogniu jeszcze 3-5 minut. Doprawcie pieprzem i majerankiem. Bryndza jest słona, więc spróbujcie, zanim dosolicie.

Zupę tradycyjnie podaje się gorącą, z kawałkiem świeżego chleba. Można ją wzbogacić skwarkami lub podsmażonym boczkiem albo złagodzić dodatkiem dobrej, gęstej śmietany, wówczas będzie delikatniejsza, bardziej kremowa. ●

eprasa.pl b620986762

Żółty październik



Z gadziej perspektywy

W lipcu 1949 r. wiceprzewodniczący Komunistycznej Partii Chin Liu Shaogi odwiedził Moskwę. Stalin potraktował go jak wasala.

Pokazał mu mapę Europy i Azji. Potem pouczył, że nowa Chińska Republika Ludowa nie będzie wtrącać do spraw Europy Środkowo-Wschodniej. Nie powinna też kontaktować się z państwami kapitalistycznymi. Chiny mają pilnować interesów ZSRR i socjalistycznej wspólnoty w Azji. Przede wszystkim w Azji Południowo-Wschodniej. Bo Azję Środkową Stalin także traktował jako sferę swoich wpływów.

Liderzy Komunistycznej Partii Chin podziwiali skuteczność Stalina. Ale pamiętali, że wcześniej wspierał ich rywali z nacjonalistycznego Kuomintangu.

Dobre Chiny, wedle stalinowskich koncepcji, to Chiny podzielone na dwa państwa. Jednym miała zarządzać KPCh, drugim Kuomintang. Stalinowską koncepcję powojennego azjatyckiego ładu dopełniała satelicka proradziecka Mandżuria, utworzona na terytorium Mandżukuo. Państewka stworzonego w 1932 r. z ziem chińskich, podporządkowanego Japonii. A także dwa proradzieckie państwa, Mongolia i Turkmenistan Wschodni, wykrojone z ziem dawnego cesarstwa Chin.

Zdecydowane zwycięstwo KPCh w 1949 r. w wojnie domowej zburzyło Stalinowi wizję jego ładu. Powstało wielkie państwo, potencjalna konkurencja wobec ZSRR. Liderzy KPCh przyjęli do wiadomości dyrektywy Stalina, ale nie zamierzali ich wykonywać. Robili to, co każdy chiński polityk świetnie potrafi. Cierpliwie czekali na sprzyjający moment.

Okienko pogodowe

Minęły tylko cztery lata i Stalin umarł. W Moskwie zaczęły się walki o schedę po nim. Chińscy liderzy postanowili wykorzystać chwilowy chaos. W lipcu 1954 r. odwiedził Polskę premier Zhou Enlai, łamiąc stalinowską dyrektywę, która zabraniała Chinom kontaktów z naszym regionem. Oficjalnie Zhou wybrał Warszawę, bo gdzieś musiał mieć międzylądowanie. Wracał z konferencji pokojowej w Genewie. Tam nowy koncert mocarstw uznał niepodległość Wietnamu Północnego i zamroził podział Półwyspu Koreańskiego.

Chińscy liderzy już wcześniej interesowali się socjalistyczną Polską. Była największym europejskim państwem w bloku radzieckim. Była też drugim, po ZSRR, państwem, które uznało Chińską Republikę Ludową. Legenda głosi, że bylibyśmy pierwsi, ale lecący do Pekinu samolot z polską delegacją został celowo uziemiony podczas międzylądowania na radzieckim lotnisku.

Na pewno polska ambasada w Pekinie zainaugurowała swą działalność już 22 lipca 1950 r. Uroczystość zaszczycił przewodniczący Mao. Dziesięć lat później placówka przeniosła się do nowego wielkiego budynku przy ulicy Ritan 1. Położonego na dawnym cmentarzu choleryków. Dziś ten adres, należąca do państwa polskiego ziemia, to deweloperski skarb. Warta już miliardy dolarów amerykańskich.

W ramach wzajemności ambasada ChRL otrzymała podobnie wielką działkę przy ulicy Bonifraterskiej 1. Na terenie dawnego getta żydowskiego. Utworzonego przez niemieckich okupantów i zburzonego doszczętnie po żydowskim powstaniu. W 1959 r. oddano tam do użytku kompleks nowoczesnych funkcjonalnych budynków. Ambasada ma też piękny park w chińskim stylu, z altanami i stawem z czarnymi łabędziami. Pod względem powierzchni warszawska chińska ambasada jest znacznie większa od amerykańskiej i innych ambasad też. Jedynie ambasada Federacji Rosyjskiej może z nią konkurować wielkością posiadanego terenu.

Po wylądowaniu premiera Zhou Enlaia urządzono wielką fetę na jego cześć. Minister spraw zagranicznych Adam Rapacki chciał zwiększyć rolę polskiej dyplomacji. Dostrzegał takie możliwości w relacjach z nowymi państwami, byłymi koloniami zachodnich imperiów. W czasie wizyty premier Zhou Enlai publicznie upomniał się o Stanisława Flata. Był to polski komunista żydowskiego pochodzenia. Walczył po stronie republikanów w wojnie domowej z generałem Franco. Potem przedarł się do Francji. W obozie dla internowanych dostał propozycję pracy jako doradca Czerwonego Krzyża w Chinach. Tam w latach 1939-45 był szefem lekarzy Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Po powrocie do Polski służył w polskim wywiadzie wojskowym. Został aresztowany w roku 1953, fałszywie oskarżony o zdradę i szpiegostwo, był brutalnie przesłuchiwany po 17-20 godzin na dobę. Wraz z innymi, podobnie oskarżanymi oficerami, miał uzasadniać przygotowywany proces Władysława Gomułki.

Przeżył, bo premier Zhou Enlai dosadnie upomniał się o niego podczas rozmowy z prezydentem Bierutem. Bo doktor Flato leczył też liderów KPCh. Świadkiem tej rozmowy jest prof. Andrzej Werblan. Przestraszony Bierut nakazał zwolnienie Stanisława Flata. Wyleczono go i odkarmiono po więziennym reżimie. Potem Flato przygotowywał wizytę w Pekinie I sekretarza KC PZPR Edwarda Ochaba w październiku 1956 r. Pracował też tam jako radca polskiej ambasady.

Niespodziewany sojusz

Wcześniej, już jesienią 1954 r., do Pekinu poleciał prezydent Bolesław Bierut. Na uroczyste obchody 5. rocznicy proklamowania ChRL. Do Polski szczęśliwie wrócił. Pół roku później Bierut poleciał do Moskwy na XX Zjazd KPZR. Tam zmarł. Co wywołało falę plotek w Polsce. „Pojechał w futerku, wrócił w kuferku", „Pojechał dumnie, wrócił w trumnie", „Zjadł ciastko z Kremlem" – komentowano. Dziś wiemy, że był to zawał serca wywołany chorobą wieńcową i powikłaniami zapalenia płuc. Zapewne zgon Bieruta przyśpieszyła destalinizacja zapowiedziana przez nowego sekretarza generalnego KPZR Nikitę Chruszczowa. „Zmarł w samą porę. Jego śmierć umożliwiła triumfalny powrót do władzy Gomułki" – spuentował znakomity historyk prof. Andrzej Garlicki.

Ale sukces polskiego października 1956 nie polegał tylko na powrocie do władzy Władysława Gomułki. Nowa władza przyniosła jakościową zmianę w polityce wewnętrznej i zagranicznej PZPR, w tym nowe – mniej wasalne – relacje z ZSRR. Pierwszą pokojową transformację ustroju Polski Ludowej. Choć możliwy był też siłowy, krwawy wariant rozwiązania konfliktu polsko-radzieckiego.

Nie byłoby sukcesu października bez niespodziewanego wsparcia ze strony Chin. Ale o tym napiszę za tydzień.

Piotr Gadzinowski



Ojciec Oktan uroczyście ogłosił rozpoczęcie sezonu grzewczego. Z tej okazji polecił wyregulowanie maszyn w Najtklubowym Kasynie, którego jest właścicielem. Należało obniżyć prawdopodobieństwo wygranych o kolejnych 10 proc. Tłumaczył ten ruch niepokorną postawą Ukrainy, która bombardując rosyjskie rafinerie perfidnie przyczynia się do trudności w zaopatrzeniu w i tak już drogie paliwo. Cena gazu wyraźnie skoczyła i trzeba było coś przedsięwziąć. Dlatego padło na graczy – obywateli, którzy i tak już ledwo wiążą koniec z końcem; ktoś musi to wyrównać. Na moją delikatną sugestię, że to przecież nie nasi sąsiedzi rozpoczęli wojnę tylko ten oczadziały rosyjski dyktator, o. Oktan odparł z kpiną:

– Dorośnij, człowieku cieciu, gdyby nie on, to Ukraina by na nas napadła i wyrżnęła w pień.

Na takie *dictum* nie pozostało mi nic innego, jak udać się do wypełniania moich obowiązków. Gdy Oktanowi, z rana Front Gaśnicowy rzuca się na umysł, najlepiej usunąć się gdzieś w kąt i przeczekać atak. Z doświadczenia wiem, że z polskimi specjalistami od wszystkiego lepiej nie zadzierać. Są najlepsi w historii, polityce, socjologii, medycynie, finansach, znają się na giełdzie, biznesie i spiskowych teoriach, które oczywiście spiskowe nie są, tylko my, barany, uważamy że są. Natomiast dlaczego, posiadając tyle talentów, większość z tych specjalistów pracuje w makdonaldzie lub nigdzie, pozostaje tajemnicą.

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl b620986762

Spod kardynalskiego kapelusza

Binowanie wiernych

Od kilku tygodni opinia publiczna w naszym kraju żyje wydarzeniami, jakie rozgrywają się w małej parafii Grojec koło Oświęcimia. Doszło tam do zamieszek pomiędzy miejscowymi wiernymi a ich biskupem, ordynariuszem bielsko-żywieckim Romanem Pindlem.



Do tych zaskakujących wydarzeń doszło, gdy biskup podjął zdecydowaną próbę usunięcia tamtejszego proboszcza ks. Józefa Zborka. W obronie duchownego stanęli nie tylko jego parafianie, ale także setki wiernych z sąsiednich miejscowości. Przy okazji okazało się, że już dwa lata temu kuria bielsko-żywiecka podjęła próbę odwołania ks. Józefa Zborka z parafii, w której pracuje od blisko trzech dekad. Proboszcz skutecznie odwołał się od decyzji swojego biskupa do Stolicy Apostolskiej, jednak po długim procesie przegrał w dwóch instancjach, gdyż Sygnatura Apostolska (taki sąd najwyższy w strukturze sądownictwa Kościoła powszechnego) przyznała rację ordynariuszowi. W tej sytuacji Dykasteria do Spraw Duchowieństwa uznała ks. Józefa za winnego. Za winnego, czego? „Przestępstwa wobec sakramentów świętych", co brzmi groźnie. Nikt z kurii biskupiej nawet nie podjął próby wyjaśnienia wiernym czy opinii publicznej, na czym polegała „zbrodnia" grojeckiego proboszcza.

Zły, bo zbyt dobry

W rzekomą „zbrodnię" nie uwierzyli jednak wierni odwołanego proboszcza i solidarnie stanęli murem w jego obronie. Takiej zdecydowanej reakcji nikt w kurii się nie spodziewał i aby ostudzić wrogie nastawienie, ordynariusz diecezji postanowił osobiście wyjaśnić wiernym z Grojca, dlaczego podjął taką decyzję. Biskup zrobił to jednak tak nieudolnie, że wywołał nie tylko agresję słowną wobec siebie, ale też doszło do przepychanek, w wyniku których ucierpiał i hierarcha, i jego urzędnicy.

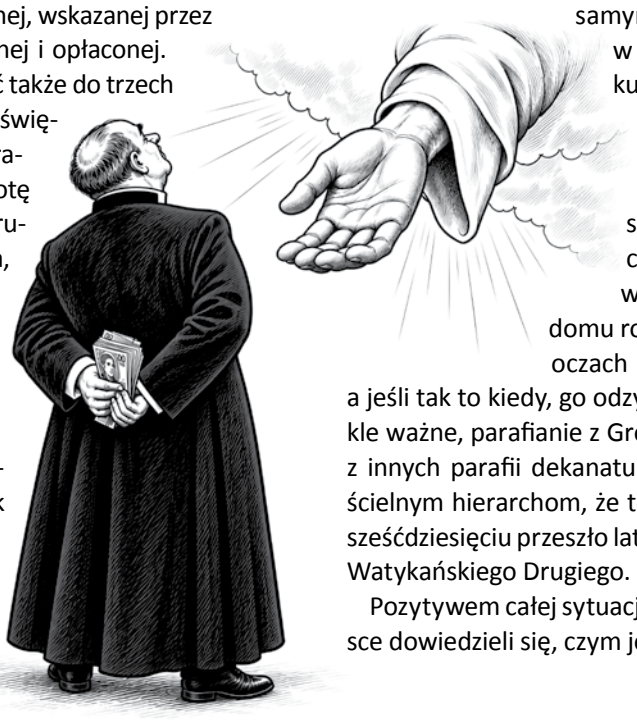
Dlaczego parafianie z Grojca w tak zdecydowany sposób stanęli w obronie swojego długoletniego proboszcza? Gdy blisko trzydzieści lat wcześniej ks. Józef Zborek pojawił się w tej parafii, wszystko w niej było nie tak. Stary drewniany kościół parafialny, brak zaplecza, finansowa pazerność, a nawet alkoholizm jego poprzedników; skandaliczne traktowanie wiernych przez duchowieństwo diecezjalne było codziennością. I nagle znalazł się ktoś, a był nim ks. Józef (rodzinnie pochodzący z Jabłonki na Orawie), który pokazał parafianom z Grojca, że może być całkiem inaczej. Rozbudował zaplecze parafii, wybudował nowy kościół, ale i zadbał o ten stary, drewniany. No i – co najważniejsze – zaczął traktować swoich wiernych jak partnerów, a nie stado baranów i beczących owiec, doglądanych i strzyżonych przez swojego pasterza. Przede wszystkim tym, za co pokochali go wszyscy, był jego ludzki stosunek do ułomności parafian i jego całkowity brak pazerności. Plebania ks. Józefa stała się miejscem, do którego pielgrzymowali nie tylko „jego wierni", ale i ludzie z okolicznych miejscowości, gdy nie mogli znaleźć zrozumienia u swoich proboszczów.

Kto miał, ten płacił, kto nie miał, płacić nie musiał albo wnosił symboliczne opłaty za wszelkie posługi kościelne. To nie mogło spodobać się jego kościelnym kolegom z sąsiednich parafii. Tym bardziej, że sława ks. Józefa od lat roznosiła się po całym dekanacie. Skargi niezadowolonych księży trafiały do urzędników kurialnych, co nie przynosiło grojeckiemu proboszczowi życzliwości i uznania także w oczach jego kościelnych przełożonych.

Teraz, gdy konflikt wokół osoby ks. Józefa narasta, nawet władze samorządowe zabrały głos. Dowiadujemy się, że pracujący w szkole jako katecheta proboszcz z Grojca swoje nauczycielskie wynagrodzenie przeznaczał na cele parafii, wspierał biedne dzieci, opłacając im wycieczki i posiłki w szkole, gdy zapominali o tym ich rodzice. Innymi słowy, lista „zbrodni" ks. Józefa rosła lawinowo. Rosła także lista jego „zbrodni" wobec kurii bielsko-żywieckiej, bo mniejsze dochody parafii, to mniej pieniędzy wysyłanych na jej konto; a tego już nikt tolerować nie mógł. I nie chciał... Skąd jednak zarzut popełnienia przestępstwa wobec sakramentów świętych? Tu małe wyjaśnienie, bo spodziewam się, że Czytelnicy naszego tygodnika nie do końca orientują się w kościelnych procedurach.

Wiara i podział zysków

Od dnia swoich święceń kapłańskich każdy katolicki ksiądz jest zobowiązany do odprawiania codziennie minimum jednej mszy w określonej, wskazanej przez wiernych intencji. Zamówionej i opłaconej. Okazjonalnie może odprawić także do trzech mszy w niedziele i wszystkie święta nakazane przez Kościół prawem kanonicznym, a w sobotę mogą to być dwie msze. Ta druga jednak ma być wieczorna, by można było ją zaliczyć już jako odprawianą w liturgii mszy niedzielnej. Do tego ponadwymiarowo można także celebrować msze pogrzebowe, z racji liturgii pogrzebowych lub ślubne. Tak więc statystyczny kapłan musi odprawić co najmniej siedem mszy w tygodniu, a legalnie – dziesięć, plus pogrzebowe i ślubne.



A co wtedy, gdy intencji mszalnych jest zdecydowanie więcej? I tu pojawia się pojęcie binowania. Proceder polega na tym, że każdy katolicki ksiądz może wystąpić do swojego biskupa o zgodę na binowanie mszy, czyli odprawianie ich więcej niż przewiduje prawo kościelne, ale z jednym istotnym zastrzeżeniem: zarobioną na nich kasę, odprowadzi do kurii biskupiej. Co to oznacza w praktyce? Że wielu księży dwa razy się zastanowi, zanim zdecyduje się odprawiać dodatkowe msze dla swoich parafian, gdyż potem będą musieli się rozliczyć z binowania ze swoim biskupem.

Istota zbrodni

Na czym polegała zatem „zbrodnia" ks. Józefa? Kiedy rządził w Grojcu jego poprzednik, rejestrował intencje mszalne w specjalnej księdze, z której wynikało, że pobrał intencje mszalne za trzy tysiące mszy, choć w rzeczywistości nigdy ich nie odprawił. I wtedy kuria nie reagowała. Przynajmniej nic o tym nie wiemy. Oskarżony ks. Józef złamał, co prawda, kościelne zasady, bo odprawiał rzekomo nawet do sześciu mszy w niedzielę i święta kościelne, czyli szedł na rękę swoim wiernym, ale popełniał „zbrodnię" wobec sakramentów świętych. I swojego lokalnego biskupa, gdyż go o tym nie informował. Nie odprowadzał też dodatkowych kwot za binowanie, ale – o zgrozo!!! – przeznaczał je na potrzeby parafii.

Ciekawostką jest także fakt, że obie strony tego konfliktu, bp Roman Pindel i ks. Józef Zborek, to dawni koledzy z krakowskiego seminarium duchownego. (Biskup był „przed sakrą" nawet jego rektorem). Kiedy w 1993 r., z woli papieża Jana Pawła II (1920-2005), powstała diecezji bielsko-żywiecka, głównie z terytorium archidiecezji krakowskiej, ks. Józef znalazł się na jej terenie. Po latach jego seminaryjny kolega dołączył do tej diecezji jako ordynariusz. Teraz stanęli po dwóch stronach kościelnej barykady, gdyż mimo nauki w tym samym seminarium reprezentują w kościelnym polskim piekiełku dwa przeciwstawne światy.

W parafii w Grojcu nadal wrze. Wierni nie dopuszczają myśli, że mogą stracić swojego ukochanego proboszcza, który, już jako przymusowy emeryt, mieszka w swoim domu rodzinnym. Biskup stracił w ich oczach szacunek i nie wiadomo czy, a jeśli tak to kiedy, go odzyska. Ale, co tutaj też niezwykle ważne, parafianie z Grojca i wspierający ich sąsiedzi z innych parafii dekanatu przypomnieli wszystkim kościelnym hierarchom, że to oni są Kościołem, czego od sześćdziesięciu przeszło lat nauczają dokumenty Soboru Watykańskiego Drugiego.

Pozytywem całej sytuacji jest zaś to, że wszyscy w Polsce dowiedzieli się, czym jest binowanie wiernych...

Andrzej Gerlach

FAKTY PO MITACH

TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol
Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.
Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja online: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl eprasa.pl**
Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 44 zł (4 wydania)
IV kwartał – 143 zł
„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921
Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl b620986762



ZAORANE

Warszawa

Co zrobić, gdy bankomat „wciągnie” pieniądze? 48-latek i jego o rok młodsza partnerka nie wpadli na to, że można np. zadzwonić do banku. Postanowili odzyskać pieniądze siłą. Metalowym narzędziem próbowali podważyć szufladę na banknoty, ale jedyne co udało im się otworzyć to prokuratorskie postępowanie m.in. za zniszczenie mienia. Grozi im teraz do 10 lat odsiadki.

Lesznowola

Żona nie chciała wpuścić męża do domu. 68-latek zadzwonił więc pod numer 112 i zgłosił, że w jego mieszkaniu są... narkotyki. Ten iście makiaweliczny pomysł wpadł mu do głowy zapewne dzięki 3 promilom alkoholu w organizmie. Później było już tylko gorzej. Dwukrotnie próbował przekupić policjantów. Grozi mu teraz do ośmiu lat odsiadki. Cóż, przynajmniej żona będzie miała spokój.

Radom

Poszukiwany m.in. za oszustwa, kradzieże i przestępstwa narkotykowe mężczyzna, ma do odsiedzenia cztery lata. Tak bardzo nie chciał trafić za kraty, że przed policjantami uciekał po balkonach na dziesiątym piętrze. Oczywiście, nie miał żadnego zabezpieczenia. Musiał być bardzo wierzący albo testował cierpliwość swojego anioła stróża.

Zawadzkie

Mówi się, że miłość jest ślepa, ale żeby aż tak? Pewna kobieta nie mogła pogodzić się z rozstaniem z partnerem. Kiedy dowiedziała się, że ma on nową miłość, postanowiła ponownie zwrócić na siebie jego uwagę. W tym celu trzy razy przebijała mu opony w samochodzie. Udało się. Jej były, prokurator, policjant i wulkanizator przez jakiś czas zapewne mówili tylko o niej.

Oborniki

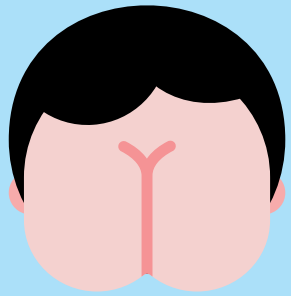
Mężczyzna w jednym ze sklepów w gminie Oborniki wpadł w furię i zaczął zrzucać z półek butelki z alkoholem. Straty oszacowano na blisko trzy tysiące zł. Policjantom tłumaczył, że poniosło go, bo był zdenerwowany... Na co? Nie wyjawił. Jeśli na brak pieniędzy na alkohol, to chyba coś poszło nie tak.

Brzeg

Inny as intelektu, tym razem pod wpływem alkoholu, postanowił okazać swoją niechęć do policji. Kopał i uderzał pięścią w radiowóz, zaparkowany pod blokiem, w którym mieszkał. Wyjaśnił, że nie lubi policji i nie spodziewał się, że któryś ze świadków może zawiadomić służby o tym, co właśnie robi, bo myślał, że inni też jej nie lubią.

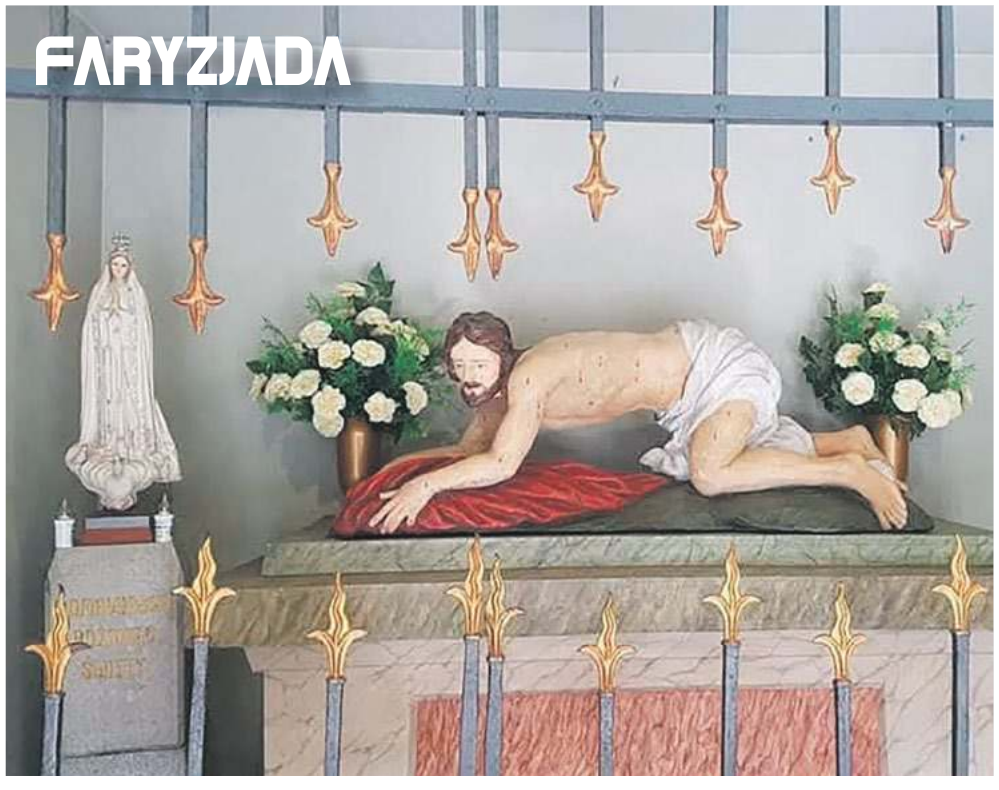
Z PiSiej pupy się wyrwało:

I nie ma ważniejszej sprawy jak odrzucenie tego zdrajcy, tego bandyty, tego przestępcy, który nazywa się Tusk. Tego człowieka, który (...) wspiera ciągle Putina w sprawie zbrodni smoleńskiej. On przecież po dzień dzisiejszy oskarża polskich pilotów.



Antoni Macierewicz
poseł







„Jeżeli prezydent chciałby znaleźć rozwiązanie w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, to każde sensowne wyjście powitałbym z uznaniem. Tylko że nie widzę takich prób. Widzę natomiast niechęć i łamanie konstytucji poprzez nieprzyjmowanie przysięgi od prawidłowo wybranych sędziów”.

Aleksander Kwaśniewski, były prezydent

„Myślę, że jak prezydent Aleksander Kwaśniewski znalazłby nieco więcej czasu na przeanalizowanie mojej prezydentury, to znalazłby kilkanaście kwestii, które jednoczą Polaków, a są wynikiem mojej pracy”.

Karol Nawrocki, prezydent

„Trybunał zacznie swoją pracę w kształcie konstytucyjnym, czy to się komuś podoba, czy nie i będzie wydawał werdykty”.

Donald Tusk, premier

„Zawsze w takich sytuacjach konfliktowych tym, którym najbardziej odpowiada, jest rząd, czyli ci, którzy sprawują władzę. Premier powinien osłabić napięcie i znaleźć z prezydentem porozumienie”.

Leszek Miller, były premier

***

„Oglądałem niedawno wywiad z młodą kobietą z Ukrainy. Powiedziała: *Prezydent Zełenski zniszczył nasz kraj. Prezydent Zełenski odebrał nam naszych mężczyzn. Nasi mężczyźni nie mają nóg ani rąk. Wielu z nich przebywa w zakładach psychiatrycznych, a inni nie żyją*”.

Donald Trump, prezydent USA

„Doceniamy troskę prezydenta Trumpa o ofiary wojny, ale w Polsce uważamy, że ci Ukraińcy zostali ranni przez drony, bomby i pociski wystrzelone przez Władimira Putina”.

Radosław Sikorski, wicepremier

„Chcę powiedzieć całkowicie szczerze, że nasze relacje z Polską rzeczywiście się poprawiły. Jestem za to bardzo wdzięczny zarówno Polsce, jak i naszym zespołom, premierowi oraz narodowi polskiemu za wspieranie Ukrainy”.

Wołodymyr Zełenski, prezydent Ukrainy

***

„Dziś ta władza trwa tylko dlatego, że kłamie. (...) Obok kłamstwa ta władza odrzuciła prawo. To nie są już pojedyncze akty łamania prawa. To jest stwierdzenie, że prawo po prostu nie obowiązuje, że obowiązuje wola władzy”.

Jarosław Kaczyński, były premier

„Donald Tusk jest mistrzem w wyciąganiu kolejnych tematów zastępczych. (...) Ten szalbierz potrafi uprawiać kamuflaż, maskaradę w stopniu naprawdę niebywałym”.

Mateusz Morawiecki, były premier

***

„Zandberg konsekwentnie jest koryciarzem. Bierze pieniądze za posłowanie, za biura i nic nie robi, nic nie wnosi do polityki. Cały czas jeździć z malutką barykadą w malutkim plecaczku i uważać, że jest się przywódcą przedszkolaków, to jest po prostu bez sensu”.

Włodzimierz Czarzasty, marszałek Sejmu

Opr. J.D.C.

eprasa.pl b620986762